



Cara Colter



*Narzeczony na
pokaz*

Tytuł oryginału: Winning a Groom in 10 Dates

PROLOG

– Widzę, Sheridan, że pozbyłeś się kłaków, zarostu i kolczyka w uchu.

– Tak, szefie. – Brand dziwnie się poczuł, słysząc swoje prawdziwe nazwisko.

– Już nie wyglądasz jak Lancaster. – Dowódca pokiwał głową z uznaniem. – Brian Lancaster nie żyje. Załatwiliśmy, aby jego prywatny samolot rozbił się nad Morzem Śródziemnym. Ciała nie znaleziono. Nikt z ludzi Loeya nie będzie pytał, dlaczego nie znalazł się wśród dwudziestu trzech aresztowanych w siedmiu różnych krajach. – Na moment zamilkł. – Fantastyczna robota, Sheridan. Kiedy odpowiedziałeś na to ogłoszenie, nikt nie podejrzewał, że sprawy tak się potoczą.

Brandona, żołnierza piechoty morskiej, zwerbowano do Oddziału Szybkiego Reagowania, elitarnej grupy antyterrorystycznej złożonej z twardych, wyszkolonych mężczyzn, wkrótce po tym, gdy wrócił z pierwszej zagranicznej misji. Był idealnym kandydatem: odznaczał się siłą i odwagą, uprawiał wspinaczkę, znał kilka języków.

Odpowiedział na ogłoszenie w internecie dotyczące kupna broni. Od tej pory jego życie uległo całkowitej zmianie. Przez cztery lata pod fałszywym nazwiskiem występował jako gliniarz, żołnierz, agent, tajniak.

Dało mu się to we znaki.

W gruncie rzeczy wolał proste szybkie zadania, które wymagały siły, sprytu i sprawności. Zadania, które nie wiązały się ze zmianą osobowości.

– Zostało nam jeszcze parę drobnych spraw do załatwienia – kontynuował dowódca – dlatego na kilka tygodni musisz zniknąć z miasta. Znasz jakieś miejsce, gdzie mógłbyś się zaszyć?

Owszem, Brand znał takie miejsce. Przed oczami stanęło mu spokojne miasteczko, w którym nikt nie zamyka drzwi na klucz, a zapach kwiatów w skrzynkach na oknach wypełnia nocne powietrze. Miasteczko, w którym w piątkowe popołudnia ludzie przychodzą do Harrison Park patrzeć, jak dzieciaki grają w baseball.

Miasteczko, które kiedyś chciał jak najszybciej opuścić. I do którego bał się powrócić.

– Mam trochę urlopu... Chętnie spędzę go w domu.

Dom. Słowo to zabrzmiało dziwnie i obco.

– Będziesz bezpieczny? Na pewno nikt...

– Sugar Maple Grove to ostatnie miejsce, w którym ktoś mógłby szukać Briana Lancastera. Leży w Vermoncie, na skraju Gór Zielonych. Tam dzieciaki nadal umawiają się na randki w lodziarni i jeżdżą do szkoły na rowerach. Największym wydarzeniem w miasteczku jest konkurs na najpiękniejszy ogród i najokazalsze róże. – Brandon zawahał się. – Niedawno rozmawiałem z siostrą. Ojciec nie najlepiej sobie radzi po śmierci mamy. Chciałbym go odwiedzić.

Oczywiście, ojciec wcale się z odwiedzin nie ucieszy.

– Twoja matka niedawno zmarła?

– Tak.

– Przykro mi. Tym bardziej, że nie zdołałeś wyrwać się na pogrzeb.

– Taka praca.

Dowódca pokiwał głową. Rozumiał go. Ojciec nie.

– W każdym razie gratuluję rozgromienia bandy Looeya. Odniosłeś spektakularny sukces. I zostałeś zgłoszony do pochwały.

Brand nie odpowiedział. Żył w mrocznym świecie, w którym nagradzano człowieka za jego umiejętność kłamania. Czy naprawdę zasługuje na pochwałę? Na pewno sam nie czuł dumy ani zadowolenia.

Wcale nie miał ochoty jechać do domu. Ojciec był na niego zły, i słusznie. Ale siostra poprosiła go o przysługę.

– W Sugar Maple powinienem uporać się ze wszystkim w tydzień, góra dwa.

– Umówmy się, że zajmie ci to miesiąc.

Miesiąc w Sugar Maple Grove? Zanudzi się tam na śmierć! Ale w jego zawodzie się nie dyskutuje.

– Tak jest, szefie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebo było usiane gwiazdami. Czasem któraś spadała, przez moment wirowała w tańcu ze świetlikami, po czym znikąca na zawsze. Idealna noc na pożegnanie, pomyślała Sophie Holtzheim.

– Żegnajcie, głupie marzenia – szepnęła. – Żegnajcie, romantyczne fantazje.

Znajdowała się w osłoniętym ogrodzie za domem sąsiada. Korzystając z jego nieobecności, rozpała ogień w dużym murowanym palenisku. Mieszkała obok, w domu przy narożnej działce. Mimo że działkę otaczał żywopłot, bała się, że ktoś wyprowadzający psa na spacer mógłby dojrzeć płomień oraz mamroczącą pod nosem kobietę w długiej białej sukni. Woląca unikać plotek. Już i tak od pół roku była na językach ludzi.

Biorąc głęboki oddech, wygładziła ręką gładki materiał. Prosta jedwabna suknia na cienkich ramiączkach, ze skromnym dekoltem, lekko rozszerzająca się ku dołowi, od razu jej się spodobała.

– Nie pójdę w niej do ołtarza – mruknęła. Westchnęła, zdjęła pokrywę ze stojącego obok pudełka i popatrzyła smętnie na jego zawartość. – Żegnajcie, marzenia.

Pudełko zawierało różne rzeczy związane ze ślubem. Wzory zaproszeń, karteczki z nazwiskami gości, skrawki materiałów na suknie druhen, wycięte z czasopism zdjęcia aranżacji kwiatowych i przystrojonych stołów, broszury przedstawiające najpiękniejsze miejsca na podróż poślubną.

Sophie wyjęła leżące z wierzchu zaproszenie.

– Nie czytaj. Po prostu wrzuć do ognia.

Oczywiście nie posłuchała siebie. W migoczącym blasku płomieni pogładziła palcem wypukły kremowy druk, po czym zbliżyła kartonik do oczu.

– „Dziś dwoje staje się jednością. Harrison Hamilton z żoną serdecznie zapraszają na uroczystość zaślubin swojego syna Gregga z panną Sophie Holtzheim...”.

Z trudem powstrzymując szloch, Sophie wrzuciła zaproszenie do ognia. Patrzyła, jak beżowa krawędź brązowieje, a następnie spala się na popiół.

Nie będzie uroczystości zaślubin Gregga Hamiltona z Sophie Holtzheim. Gregg Hamilton zamierza połączyć swoje życie z Antoinette Roberts.

Od kilku miesięcy Sophie żyła nadzieją, że jeszcze nie wszystko stracone, że prędzej czy później Gregg odzyska rozum. Przestała się łudzić dziś po południu, kiedy otrzymała całkiem inne zaproszenie, na którym zamiast niej figurowała Antoinette. Było to zaproszenie na przyjęcie zaręczynowe organizowane w eleganckim domu rodziców Gregga na przedmieściach Sugar Maple Grove.

– Też byłam zaręczona z Greggiem i nikt nam z tej okazji nie organizował przyjęcia – mruknęła pod nosem.

Łzy, które wstrzymywała od popołudnia, trysnęły jej z oczu strumieniami. Jak to dobrze, że na dzisiejszą ceremonię pożegnalną przyszła bez makijażu.

Claudia Hamilton... Jak mogła jej to zrobić? Trzeba nie mieć serca, by zapraszać ją, Sophie, na przyjęcie, na którym całe Sugar Maple Grove pozna nową narzeczoną Gregga.

Jednakże Claudia, która dawniej wraz z Sophie godzinami oglądała pisma o ślubach, niczego nie ukrywała.

– Rozstałaś się z Greggiem kilka miesięcy temu i przestań już uzalać się nad sobą. Zjawi się całe miasteczko. Musisz przyjść dla własnego dobra, kochanie. Najlepiej z jakimś przystojnym mężczyzną. – Matka Gregga uśmiechnęła się. – Nie może być tak, że wszyscy latami będą mówić o tym, jak to Gregg złamał ci serce. Mój syn zamierza otworzyć z Toni kancelarię. Takie plotki nie przysporzą im klientów. A sama wiesz, że Gregg nie zrobił ci nic złego.

To prawda. Wszystko było winą Sophie.

– Gdybym mogła cofnąć czas – szepnęła, wierzchem dłoni ocierając łzy. Wrzucając do paleniska zdjęcie tortu weselnego, trzypiętrowego, ozdobionego żółtymi różyczkami, wróciła pamięcią do tamtego dnia. – Gregg, potrzebuję czasu do namysłu – rzekła, kiedy przed powrotem na studia nalegał, aby ustaliła datę ślubu.

Teraz miała całe życie na myślenie o tym, jaka była głupia. Wszystko zaprzepaściła z powodu lęku, jaki ją ogarnął. Zawsze miała wrażenie, że zna Gregga jak własną kieszeń. Nie spodziewała się, że tak zareaguje. Sądziła, że przyjmie jej słowa ze zrozumieniem, on natomiast wpadł w furję. Naprawdę potrzebny jej czas do namysłu?

No cóż, nie powinna się dziwić.

Hamiltonowie stanowili śmietankę towarzyską, a ona była uroczym kujonem, którego wszyscy pokochali dziesięć lat temu, kiedy jako finalistka Konkursu Oratorskiego wygłosiła mowę na temat „Uroków życia w małym miasteczku” i rozślawiła Sugar Maple Grove na całe Stany.

Chociaż dawno pozbyła się aparatu na zębach i okularów, nadal uchodziła za kujona. Toteż nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, kiedy

wpadła w oko synowi Hamiltonów. Gregg nadmiernie przejmował się opinią ludzi, był też bardziej pragmatykiem niż romantykiem, lecz trudno uznać to za wady.

Zwłaszcza z perspektywy czasu!

Nie, to nie pragmatyzm Gregga jej przeszkadzał. Chodziło o coś, czego Sophie nie potrafiła sprecyzować. Po prostu czuła, że czegoś jej brakuje. Męczyła się, szukała tej brakującej tajemniczej części, czekała, aż się pojawi. Kiedy wreszcie zrozumiała, że czeka na próżno, powiedziała Greggowi, że coś w ich związku jest nie tak. Nie umie tego nazwać, ale ma stałe poczucie niedosytu. Zsunąwszy z palca pierścionek z brylantem, oddała go narzeczonemu.

Była zaskoczona, jak szybko Gregg się otrząsnął, jak szybko znalazł pocieszenie w ramionach innej.

Z początku sądziła, że próbuje wzbudzić jej zazdrość. Bo czy kogoś, z kim łączyło nas prawdziwe uczucie, można zastąpić kimś innym zaledwie po tygodniu czy dwóch?

Dziś jednak, trzymając w ręce zaproszenie od Hamiltonów, uznała, że Gregg nie usiłował wzbudzić jej zazdrości. Nie bawił się z nią w kotka i myszkę. Miał nową dziewczynę, piękną i inteligentną. Nie przybiegnie do niej, Sophie, z prośbą o przebaczenie; nie będzie błagał, by dała mu jeszcze jedną szansę. To koniec. Gregg już do niej nie wróci. A Claudia Hamilton prosiła ją, by nie była żalosna. Boże, gdyby zobaczyła, jak teraz w ogrodzie, w środku nocy, z pudełkiem marzeń i w ślubnej sukni bierze udział w jakiejś dziwnej pogańskiej ceremonii...

Tak, jest żalosna. Stała pod rozgwieżdżonym niebem, rzucając w płomienie marzenia, odtwarzając w pamięci słowa, których nie powinna

była mówić, zastanawiając się, co by było, gdyby w porę ugryzła się w język...

– Nie pójdę na to przyjęcie! – stwierdziła. – Za żadne skarby świata. I nie interesuje mnie, co pomyślą.

Napawała się własną siłą. Ale trwało to krótko, sekundę lub dwie, a potem załamała się.

– Boże, co ja najlepszego zrobiłam? Chciałam żyć intensywnie, czuć płomień w sercu.

Nagle włosy zjeżyły się jej na karku.

Ktoś wszedł do ogrodu, cicho i bezszelestnie. Kiedy? Po plecach przebiegł jej dreszcz. Obejrzała się przez ramię. Przez chwilę nic nie widziała, a potem zobaczyła zarys postaci zlewający się z czarnym tłem.

Mężczyzna stał przy furtce nieruchomo, prawie jakby nie oddychał. Był wysoki i miał w sobie coś z drapieżnika.

Poczuła, jak serce jej wali. Nie ze strachu. Z podniecenia, bo go rozpoznała. Chociaż ciemność skrywała jego rysy, chociaż nie widzieli się osiem lat, choć w tym czasie bardzo zmężniał, nie miała cienia wątpliwości, kim jest ów mężczyzna. To on zniszczył jej życie.

Nie, to nie jego nazwisko figurowało na wzorze zaproszenia, ale to o nim myślała, kiedy wypowiadała pamiętne słowa o czasie do namysłu.

Tylko on, Brand Sheridan, krnąbrny syn miejscowego lekarza, wieczny wędrowiec, potrafił sprawić, że ciarki przechodziły jej po skórze. Może zachowała się niemądrze, zrywając zaręczyny. Brandona poznała, kiedy miała dwanaście lat, a on siedemnaście. Kiedy miała piętnaście lat, nie widziała poza nim świata.

Tego uczucia z niczym nie dawało się porównać. Może jedynie ze skokiem do wody z Blue Rock. Z tą cudowną chwilą zawieszenia w

powietrzu, kiedy człowiek już odbił się od skały, a jeszcze nie uderzył w tafłę lodowatej wody.

Przy Brandzie zawsze czuła się jak podczas skoku: podekscytowana i ożywiona.

Na sam jego widok w głowie się jej kręciło, zaczynała snuć fantazje. I marzyć. Szaloną dziewczęcą miłością kochała mężczyznę, który teraz stał w mroku na skraju ogrodu. Kochała go bez pamięci i bez wzajemności.

Poczuła znajomy dreszcz podniecenia, a po chwili usłyszała głos, którego nigdy nie zapomniała. – Co tu się dzieje?

Wiedziała, że Brand ma oczy niebieskie jak szafir, lecz w ciemności wydawały się czarne. Przez moment tkwiła bez ruchu, jakby zahipnotyzowana jego spojrzeniem, po czym ocknęła się i rzuciła do ucieczki. Nie chciała, aby po ośmiu latach zobaczył ją w takim stanie.

W żywopłocie oddzielającym ogrody znajdował się nieduży otwór, przez który mogła się przecisnąć. I zrobiłaby to, gdyby nie przypomniała sobie o tym cholernym pudełku z pamiątkami. Miałaby je zostawić na trawniku? Dobre sobie! Kopciuszek gubi szklany pantofelek, a ona pamiątki związane ze ślubem, do którego nie doszło. Żałosne!

Cofnęła się, chwyciła z ziemi pudełko i... Katastrofa! Potknęła się o dół sukni i runęła jak długa. Pudełko wypadło jej z rąk, jego zawartość rozsypała się. Brand był przy niej, zanim zdążyła się podnieść. Zacisnąwszy dłoń na jej gołym ramieniu, obrócił ją twarzą do siebie. Patrzyła w jego oczy, czując, jak piecze ją skóra. Tak, właśnie tego, tego tajemniczego czegoś brakowało w jej związku z Greggiem.

Brand zaś pochylił się i zmarszczył czoło.

– Kitka?

Wciąż był piekielnie przystojny, ale rysy miał bardziej wyostrome, spojrzenie chłodne i badawcze.

Cofając rękę z ramienia Sophie, delikatnie starł grudkę brudu z jej policzka. To był zwykły przyjazny gest. Dawniej też pomagał jej, gdy wpadała w tarapaty. Łapał ją, kiedy się potykała, podtrzymywał, gdy traciła równowagę. A zdarzało się to często, bo świat jej przesłaniała miłość.

Zamknęła oczy. Kiedy Brand wyjechał, tysiące razy usiłowała sobie wyobrazić jego powrót. Tysiące razy widziała w myślach ten dzień, kiedy przyjeżdża do domu i wciąga z sykiem powietrze na widok swojej młodej sąsiadki, która już nie jest płaską niczym deska gapowatą nastolatką z aparatem na zębach. Jest kobietą.

Słyszała zachwyt w jego głosie: Sophie, wyrosłaś na prawdziwą piękność...

Ale oczywiście nic się nigdy nie działo tak, jak tego chciała.

– To ty?

Podniosła wzrok. Wszystkimi zmysłami chłoneła jego czar. Brand Sheridan zawsze był seksowny. Nie chodziło tylko o jego zapierający dech w piersi wygląd, bo przystojnych facetów jest od groma. Nie chodziło też o jego pewność siebie, o siłę, jaką emanował, o pogodę ducha i beztroskę, bo te cechy inni również posiadali. Nie, było w nim coś jeszcze, coś nieuchwytnego, czego nie umiała nazwać, coś niemal zwierzęcego, co sprawiało, że nie mogła oderwać od niego oczu. Czowała podskórnie, że któregoś dnia Brand opuści miasteczko. Było dla niego za małe, zbyt senne, a on łaknął przygód, chciał żyć szybko, pełną piersią.

Ojciec Branda, miejscowy lekarz, był człowiekiem spokojnym, kochającym tradycję. Ku jego przerażeniu i rozpaczycy syn, zamiast pójść w ślady przodków, rzucił studia i wstąpił do wojska, po czym bez żalu opuścił

rodzinne strony. Wraz z Sheridanami Sophie cieszyła się, kiedy po misji za granicą Brand wrócił do Stanów. Kiedy to było? Pięć lat temu? Nie, więcej. Przypomniała sobie, że przebywał za oceanem, kiedy zginęli jej rodzice.

Po powrocie ani razu nie odwiedził swych rodziców. Zanim ci odetchnęli z ulgą, że syn jest bezpieczny, z dala od kul i pocisków, Brand został zwerbowany przez elitarną grupę międzynarodowych wojowników znaną jako Oddział Szybkiego Reagowania. Większość czasu szkolił się i mieszkał poza granicami Stanów; niedużą część szkolenia odbył na zachodnim wybrzeżu. Brał udział w tajnych operacjach, często narażając życie.

O ile Sophie wiedziała, z rodzicami widział się parokrotnie – w Kalifornii, w Londynie i w Paryżu.

Niekiedy pojawiał się na uroczystościach rodzinnych w domu swojej siostry Marcie w Nowym Jorku.

Zrozumiała, że z Sugar Maple pożegnał się na dobre. Najwyraźniej nie dostrzegał uroków życia w miasteczku, o których ona mówiła podczas konkursu oratorskiego.

Jednakże wszyscy mieszkańcy przeżyli szok, gdy Brand nie przyjechał na pogrzeb matki. Nazajutrz po pogrzebie doktor Sheridan usunął z półki nad kominkiem oprawione w ramki zdjęcie syna w czapce i mundurze żołnierza piechoty morskiej.

– Brandon... Nie spodziewałam się ciebie.

Ugryzła się w język. Przecież to jasne, że się go nie spodziewała. Jest środek nocy, a ona ma na sobie suknię ślubną. Czy ubrałaby się tak, gdyby sądziła, że spotka Branda? Z drugiej strony ona w sukni ślubnej i Brand... Hm. Zadrżała na myśl o Brandonie stojącym przy ołtarzu. Wyobraziła sobie, jak jego rysy łagodnieją...

Szybko pozbyła się romantycznych wizji.

Gdy zadzwonił do niej po śmierci jej rodziców, głos miał przepelniony tklivością i bólem. Ale wiedziała, że to nic nie znaczy; po prostu dzwonił, by wyrazić współczucie.

– Czekalaś na kogoś innego?

Ujęła wyciągniętą rękę, starając się zignorować klucie w brzuchu. Brand bez wysiłku podciągnął ją na nogi.

– Nie. Chciałam spalić kilka ważnych bzdetów.

– Ważnych bzdetów – powtórzył, uśmiechając się.

Oj, jaka jest żalosna. Niewinny dotyk Branda sprawił, że serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Ani razu nie czuła się tak z Greggiem. W dodatku była nieuczesana i nieumalowana. Spośród wszystkich ludzi dlaczego akurat Brand musiał ją przyłapać na tym, jak w sukni ślubnej odprawia po nocy jakieś rytualne czary–mary?

Po chwili, gdy stała już na nogach, puścił jej rękę i zaczął zbierać z ziemi rozwiane przez wiatr pamiątki z niedoszłego ślubu. Na szczęście chował je do pudełka, nie okazując nimi zainteresowania. Sophie odetchnęła z ulgą.

Mogła ponownie skierować się do otworu w żywopłocie i uciec do siebie, ale coś ją powstrzymywało. Poza tym nie chciała zostawiać tu pudełka. Czuła się tak, jakby nic nie piła od wielu dni, a Brandon był źródłem czystej wody.

Kilka dni? Nie. Miesiące. A nawet lat. Wiedziała, że tylko on może zaspokoić jej pragnienie.

Zmienił się w ciągu tych ośmiu lat. Dojrzał, zmężniał. Zmieniło się nie tylko jego ciało. Włosy miał ostrzyżone niemal na jeża, twarz bez zarostu. Ubrany był dość konserwatywnie, ale koszulka polo z krótkimi rękawami uwidaczniała jego mięśnie.

Westchnęła cicho. Brakowało jej tamtego chudego i zadziornego chłopaka. Chłopak, którego pamiętała, był buntownikiem: nosił czarne skórzane kurtki, uwielbiał szaleć na motorze. Ku zgorszeniu matki paradował w poszarpanych dżinsach. Niektóre dziury były w takich miejscach, że czasem Sophie aż się czerwieniła. Do fryzjera nie chadzał i zwykle dwudniowy zarost ocieniał mu policzki. Teraz wyglądał jak żołnierz.

Nagle Sophie dostrzegła, że Brand ma przekłute ucho. Oho! Oczami wyobraźni zobaczyła pirata, który na szeroko rozstawionych nogach stoi na pokładzie statku miotanego przez potężne fale i z zadartą głową wpatruje się w rozdzierane błyskawicami niebo...

Przestań! Już od wielu lat miała opinię rozsądnej i zrównoważonej. Omal nie poślubiła jednego z najbardziej rozsądnych mężczyzn na świecie. I co? Wystarczy Brand Sheridan, a jej rozsądek znika.

A może, co bardziej prawdopodobne, myli się. Może nigdy nie była rozsądna ani zrównoważona?

ROZDZIAŁ DRUGI

– Masz przekłute ucho? – spytała zdumiona, chociaż wiedziała, że nie powinno jej to obchodzić. O ileż byłoby lepiej, gdyby w ogóle tego nie zauważyła.

– Tak – odparł, pocierając małżowinę.

Śledziła rękę Branda; też miała ochotę potrzeć jego ucho albo musnąć je wargami. Dziwne, nigdy nie czuła takiej potrzeby, kiedy była z Greggiem. Przy nim zawsze zachowywała się rozsądnie.

Ale Gregg to nie Brand. Poza tym ucho Gregga nie nosiło śladów przekłucia. A Branda...

Skarciła się w duchu. Nie знаła człowieka, który teraz był z nią w ogrodzie. To nie był ten sam Brand Sheridan, który zadzwonił w najkoszmarniejszą noc jej życia i pełnym współczucia głosem powiedział: „Och, Kitku”.

To inny Brand wyjechał z Sugar Maple osiem lat temu. Wyjechał chłopiec, a wrócił mężczyzna. Osem lat temu ona była beztroską dziewczyną mającą tylko jedno zmartwienie: pozbyć się opinii kujona. Nie wiedziała jeszcze o tragedii, jaka wydarzy się tuż po jej osiemnastych urodzinach, o wypadku, w którym straci rodziców.

Brand, nieświadomy jej fascynacji jego uszami, podniósł z ziemi kolejną kartkę, włożył ją do pudełka, po czym rozejrzał się wkoło.

Zobaczyła jego oczy. Ciemnoszafirowe jak ocean. Tajemnicze. Dawniej, pamiętała, był w nich figlarny błysk. A usta zawsze były łobuzersko uśmiechnięte.

Teraz spojrzenie miał czujne i nieufne, jakby wzniosł wokół siebie mur, za który nikogo nie wpuszczał. Usta zaś miał zaciśnięte, jakby rzadko gościł na nich uśmiech.

Gdzie się podział ów zuchwały, skory do żartów nastolatek, który syjamskiemu kotu sąsiadów włożył na łepkę dziecięcą czapeczkę i zawiązał ją pod brodą? Przepadł bezpowrotnie. Zamiast niego pojawił się żołnierz, groźny przeciwnik o hardym spojrzeniu.

Miała ochotę pogłodzić go po jego surowej twarzy i spytać: Brand, co ci się stało? Jakie okropności widziałeś?

Na szczęście zdołała się powstrzymać.

– Dziękuję, Brandonie – powiedziała, wyrywając mu pudełko. A ponieważ zabrzmiało to strasznie oficjalnie, dodała: – Umieszczę cię w swoim testamencie.

Spostrzegła, jak uśmiech przemyka po jego wargach. Ucieszyła się. Zawsze tak mu dziękowała, kiedy wybawiał ją z opresji. Czyli zapamiętał.

– Słyszałem te słowa wiele razy.

– Boja wiele razy pakowałam się w kłopoty.

– To prawda. Jak się nazywał ten chłopak, który gonił cię do domu po meczu w Harrison Park?

– Nie przypominam sobie – skłamała.

– Ned?

– Nie. Nelbert.

– Dlaczego cię gonił?

– Nie mam pojęcia.

– Zaraz, zaraz... Już wiem! Powiedziałeś mi, że jest głupszy od psa, który gania skunksy. Prawda?

– Ale powiedziałam to po japońsku. Sądziłam, że ujdzie mi to płazem, jednak...

Dobiegła do domu. Wydawało jej się, że jest bezpieczna, tylko że nie miała kluczy, a w domu nikogo nie było. Nelbert deptał jej po piętach, i nagle z cienia wyłonił się Brand. Stał w rozkroku, skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się. A raczej wyszczerzył zęby. To wszystko. Nic więcej nie zrobił. Nelbert zatrzymał się w pół kroku, po czym skręcił w przeciwną stronę. Nawet nie obejrzał się za siebie. I nigdy nie próbował wyrównać z Sophie rachunku.

– Po japońsku. – Brand pokręcił głową. – Niezły był z ciebie numer. – Na moment zamilkł. – Mogę spytać, co robisz w ogrodzie mojego ojca? – Zmrużył oczy. – Masz na sobie koszulę nocną?

No proszę. Przynajmniej oszczędziła sobie wstydu, bo gdyby poszła do ślubu tak ubrana, wszyscy by ją palcem wytykali.

– Co robię? Chciałam spalić kilka niepotrzebnych rzeczy – oznajmiła pogodnym tonem.

Ponownie ruszyła do otworu w żywopłocie. Brand Sheridan był jak silnie działający narkotyk. Bała się, że w jego obecności może zapomnieć, po co tu przyszła.

– Spalić? – Spojrzał na zegarek. – W środku nocy? – Zerknął na dom. – Ojciec wie, że tu jesteś?

– Wyjechał. – Zbliżyła się do żywopłotu. – Nie uprzedziłeś go o swojej wizycie?

Doktor Sheridan był zajęty uwodzeniem babki Sophie, która przyleciała z Niemiec do Stanów po śmierci rodziców dziewczyny. Wprawdzie wnuczka zapewniała ją w listach, że się czuje dobrze, ale babka wiedziała, że to nieprawda.

Zamieszkawszy w Sugar Maple, starsza pani zaczęła piec różne pyszności. Dobre jedzenie zawsze pomaga otrząsnąć się po tragedii. Pomogło Sophie, a potem doktorowi, kiedy zmarła jego żona. W ten weekend babka Sophie i ojciec Branda wybrali się do sąsiedniego miasta na festiwal szekspirowski. Zamierzali tam przenocować.

Sophie nie dopytywała, czy zamówili jeden pokój czy dwa. Starsi państwo byli niezwykle dyskretni, toteż uważała, że nie ma prawa opowiadać Brandowi o intymnych sprawach jego ojca.

– Postanowiłem sprawić mu niespodziankę.

Z jego tonu Sophie wywnioskowała, że Brand przypuszczalnie wie, że z półki nad kominkiem zniknęło jego zdjęcie. Zapamiętaj to, przykazała sobie w myślach. Oto człowiek, który nawet nie pofatygował się na pogrzeb własnej matki.

– Twój ojciec jutro wróci. – Wtem skojarzyła, że minęła północ. – Jutro czyli dzisiaj. Bo już jest dzisiaj, prawda? Niedziela?

Brad zawsze tak na nią działał. Ilekroć stał obok, a ona otwierała usta, zaczynała się plątać, jakby była niedorozwinięta.

– Zdziwi się na twój widok...

Raptem podmuch wiatru poderwał z ziemi zdjęcie, które wcześniej przeoczyli. Brandon chwycił je w locie, po czym podniósł do oczu. Po chwili oddał je Sophie.

Przedstawiało wnętrze niedużego kościółka. Panna młoda klęczała samotnie przed ołtarzem; tren jej sukni zakrywał kamienne schody. Panna młoda, sama w pustym kościele. Dawniej to zdjęcie wydawało się Sophie romantyczne, tchnęło spokojem. Dziś kobieta na zdjęciu sprawiała wrażenie porzuconej.

Sophie zmięła zdjęcie i wrzuciła je do pudełka.

– Nic ważnego. Śmieci.

Brand uważnie się jej przyglądał. Miała nadzieję, że nie domyśli się, że płakała. Tylko tego by brakowało.

– Twój strój, Kitku, to nie koszula nocna? – spytał łagodnie.

Wiedziała, że nie może się rozkleić.

– Nie. – Uniosła dumnie brodę. – To nie koszula nocna.

– Wychodzisz za mąż? – W jego głosie pojawiła się znajoma nuta wesołości.

Czy ojciec i syn w ogóle nie utrzymywali kontaktu? Czy doktor Sheridan nie opowiadał Brandowi o tym, co się dzieje? W Sugar Maple Grove wszyscy się znali, wiedzieli, komu się urodziło dziecko, kto się żeni, kto rozwodzi. Na tym przecież polega urok życia na prowincji.

Z drugiej strony jakie to miłe i odświeżające, że chociaż jedna osoba nie wie o jej zerwanych zaręczynach. I nie patrzy na nią ze współczuciem.

– Tak. Poślubiam tajemnicę nocy – odparła. – To pradawna ceremonia z czasów, gdy czczono boginie.

Przez chwilę obserwował ją w milczeniu, a ona znów miała do siebie żal, że nie ugryzła się w język. Zanim zdążyła cokolwiek dodać, Brand pokiwał głową.

– Kitku, jesteś jedyna w swoim rodzaju.

– Kretynka?

– Przestań. Naprawdę mało jest takich ludzi jak ty.

Jego spojrzenie ponownie stało się smutne. Chciała przepędzić ten smutek, sprawić, by uśmiech wrócił na jego usta. Ale bała się bólu, zranienia.

– Dobranoc – rzekła stanowczym tonem i odsuwając ręką kolczaste gałęzie, weszła w zielony otwór.

Nagle suknia zahaczyła o kolec. Gdzieś z tyłu, na wysokości żeber. Sophie usłyszała odgłos rozdieranego materiału. Zamarła, a potem pociągnęła lekko spódnicę. Bez powodzenia. Wiedziała, że już nie potrzebuje sukni ślubnej, mimo to nie potrafiła się zdobyć na to, by ją szarpnąć z całej siły. Co teraz? Odłożyć pudełko, by obie ręce mieć wolne, i wtedy spróbować się uwolnić? Ale jeśli schyli się z pudełkiem, przypuszczalnie powiększy rozdarcie.

Obejrzała się za siebie. Miała nadzieję, że Brand zniknął, ale gdzie tam! Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i z rozbawieniem obserwował jej poczynania.

Cholera, czy nie mogła odejść z godnością? Czy zawsze przy nim musi się potknąć, upaść, zrobić coś głupiego?

Cofnęła się pół kroku, licząc na to, że może kolec puści, usłyszała kolejne rozdarcie, tym razem na wysokości talii. Jakim cudem nic nie podarła, kiedy wchodziła do ogrodu Sheridanów? Teraz bała się wykonać jakikolwiek ruch. Mogłaby wprawdzie rzucić pudełko na ziemię, bez schylania się, ale jeśli jej „skarby” znów się rozsypią po trawniku?

Uwięziona zastanawiała się, co począć. Miała wrażenie, że tkwi bez ruchu od godziny. W tym czasie dżentelmen powinien domyślić się, że kobieta potrzebuje pomocy. Ale Brand, czarna owca w rodzinie Sheridanów, nie był dżentelmenem. Przekonała się o tym, kiedy znowu obejrzała się za siebie. Ten drań doskonale się bawił. Choć próbował zachować powagę, widać było, że trzęsie się ze śmiechu.

– Czy mógłbyś mi pomóc? – warknęła.

Po chwili zdała sobie sprawę, że mądrzej by postąpiła, gdyby rozerwała suknię. Przynajmniej uniknęłaby kontaktu fizycznego z Brandem, bo on, nie zważając na gałęzie ani na to, że otwór w żywopłocie jest za

mały, by pomieścić dwie osoby, stanął koło Sophie. W nozdrza uderzył ją jego zapach, a jakby tego było mało, poczuła na szyi ciepły oddech. Na szyi i na uchu... Natychmiast dostała gęziej skórki, a on to oczywiście zauważył.

– Zimno ci? – zapytał szeptem, a jej dreszcz przebiegł po plecach.

– Trochę. Noce bywają strasznie chłodne. Zacisnął rozgrzaną dłoń na jej ramieniu.

Nie nabrała go. Roześmiał się cicho. Obchodził się z nią delikatnie, jakby była rannym przerażonym ptaszkiem.

Cóż, ma doświadczenie, pomyślała. Dzielila ich przepaść, zanim jeszcze wyjechał z Sugar Maple. A teraz...

– Już – powiedział.

– Jeszcze jedno miejsce. Z lewej strony, na wysokości talii.

Ciepły oddech odsunął się od jej ucha. Ręka wędrowała w ciemnościach wokół jej talii. Po chwili Sophie poczuła, że jest wolna. Ile sił w nogach czmychnęła do swojego ogrodu. Nie podziękowała, nawet się nie obejrzała.

Usłyszała za sobą śmiech.

– Nie możesz, Kitku, poślubić nocy. Obiecałaś, że zaczekasz na mnie.

Tak było. Późną nocą, wkrótce po jego wyjeździe, zasiadła do pisania listu. I jak to egzaltowana piętnastolatka, która wierzy, że spotkała jedyną i największą miłość życia, obiecała mu, że będzie go kochać do końca swoich dni. Czyżby dotrzymała słowa? Czy dla fantazji, z którą żyła tyle lat, poświęciła Gregga?

– Brandon – zawołała, wdzięczna za mrok, który skrywał jej twarz. – Nie przypominaj mi o głupiej piętnastolatce!

– Uwielbiałem tę piętnastolatkę.

Noc, rozgwieżdżone niebo, w tle strzelające płomienie ognia, ona w sukni ślubnej i on, Brand Sheridan, który mówi, że ją uwielbia. A raczej, że uwielbiał, kiedy miała piętnaście lat. Nic z tego. Sophie westchnęła. Aż tak naiwna nie jest.

– Nieprawda – zaprotestowała. – Złościłeś się na mnie. Uważałeś, że jestem potwornie irytująca.

Z drugiej strony żywoplotu dobiegł ją zmysłowy śmiech. O nie, nie zamierza tam wracać! Nie ulegnie czarowi Branda! Najwyższy czas wyzwolić się spod jego uroku.

Trzeba zamknąć jedne drzwi, by otworzyć drugie. Pożegnać przeszłość, aby patrzeć z nadzieją w przyszłość.

Dotychczas tego nie zrobiła. Może dlatego nie wyszło jej z Greggiem? Ignorując śmiech Branda i pragnienie, aby zajrzeć za ogrodzenie, Sophie ruszyła biegiem do domu. Nacisnęła klamkę, po czym wpadła zdyszana do środka, a drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Idąc przez ciemny ogród do frontowych drzwi, Brand czuł coś, czego nie czuł od lat. Lekkość, bez troskę, radość.

Sophie Holtzheim, którą nazywał Kitką, bo odkąd pamiętał, włosy wiązała w dwie kitki, była równie zabawna jak dawniej. Zabawna w sposób niezamierzony, co jedynie dodawało jej uroku.

– Bogini, która paląc w ogrodzie niepotrzebne rzeczy, poślubia noc... – Roześmiał się cicho.

Ale nie wszystko było zabawne. Przejechał dłonią po występie nad drzwiami, szukając klucza. Sophie w niczym już nie przypominała niezdarnego dziecka.

Nie był pewien, jakim cudem ją rozpoznał. W ciągu tych ośmiu lat zmieniła się nie do poznania. Pamiętał piegowatą buzię, burzę rudych

włosów, spalone słońcem chude ramiona, obtarte łokcie i kolana. Pamiętał niezbyt twarzowe okulary i rękę, którą ciągle usiłowała zasłonić aparat na zębach. Pamiętał badawcze spojrzenie, wyraz zatroskania na twarzy, nieustanną chęć niesienia pomocy. Zawstydziała go; czuł się przy niej jak nicpoń, który myśli tylko o własnych przyjemnościach.

Uśmiechnął się. Co do jednego Sophie się nie myliła: uważał ją za potwornie denerwującą osobkę.

Jako starszy – w owym czasie różnica pięciu lat wydawała się ogromna – zawsze chronił ją przed miejscowymi drabami, wyciągał z różnych opresji i z rozczeniem zmieszany z irytacją tolerował fakt, że wodzi za nim maślanym wzrokiem.

Kiedy zaciągnął się do wojska, przez pierwszy rok dostawał od niej listy. Koperty adresowane dziewczęcym charakterem pisma, za każdym razem długopisem w innym kolorze, od razu rzucały się w oczy. Z początku pisała o tym, co się dzieje w miasteczku, jakieś plotki o ludziach, których znali. Potem, jakby za sprawą dzielącej ich odległości, nabrała odwagi: wyznała mu miłość i obiecała, że będzie na niego czekać. Ciągle prosiła o jego zdjęcia.

Uznał, że najrozsądniej będzie nie odpowiadać.

W ciągu ośmiu lat tylko raz się do niej odezwał: gdy dowiedział się o wypadku na przejeździe kolejowym przy ulicy Miller, w którym zginęli jej rodzice. Sophie miała zaledwie osiemnaście lat. Tak bardzo chciał ją wtedy wziąć w ramiona i pocieszyć.

Stacjonował za granicą, w bazie, gdzie do telefonów zawsze ustawiała się kolejka chętnych, kiedy –dosłownie kilka minut po wypadku Holtzheimów –dostał mejla od swojej matki. Przez kilka godzin czekał w kolejce, by zadzwonić do Sophie. W końcu się dodzwonił, zamiast jednak

powiedzieć coś mądrego i ciepłego, przycisnął słuchawkę do ucha i szepnął: Och, Kitku...

Słyszając jej rozdzierający szloch, miał wrażenie, że za moment serce mu pęknie. Ileż by dał, by być wtedy przy niej, otrzeć łzy. Chyba wszystkiemu winne były jej oczy. To one sprawiały, że mimo deklarowanej obojętności czuł osobliwą więź z Sophie.

Wielkie, brązowe, ukryte za okularami, patrzyły na człowieka spokojnie, z ogromną przenikliwością, jakby widziały w nim rzeczy, których on sam sobie nie uświadamiał. Czaiła się w nich dobroć, mądrość i dojrzałość.

Ujrzawszy dziś Sophie, zrozumiał, że wtedy, przed laty, się nie mylił. Taka właśnie była Sophie: dobra i mądra.

Owszem, trochę się zmieniła. Włosy straciły intensywnie rudy kolor, przybrały odcień kasztanowy. Nie był też pewien, gdzie się podziały piegi, bo teraz cerę miała gładką, brzoskwiniową, bez żadnej plamki. Nie żeby poświęcał czas na rozmyślanie o Sophie, ale nigdy nie przypuszczał, że mała piegowata okularnica wyrośnie na piękną kobietę.

Jej widok wprowadził go w zdumienie. Zniknęła chudość, pojawiły się apetyczne krągłości. Całe szczęście, że w porę się zorientował, kto krąży wokół paleniska w ogrodzie ojca; dzięki temu nie wbił wzroku w nieskrępowane stanikiem piersi osłonięte jedynie cienkim materiałem sukni.

Stale miała kłopoty, a on co rusz biegł jej na ratunek. Po tym, jak wygrała konkurs, w którym opowiadała o urokach życia w małym miasteczku, przybyło jej zarówno sympatyków, jaki gnębicieli. Biedna Sophie.

W dodatku nie potrafiła ugryźć się w język. Niepytana o zdanie, zawsze musiała wyrazić swoją opinię, często niezbyt pochlebną. W

przeszłości Brand uważnie obserwował jej kolegów, kilku przepędził, a ją ostrzegł, żeby była jednak bardziej wybredna.

Kitku, faceci to świnie.

Ty też?

Zwłaszcza ja.

Był starszym bratem, którego nigdy nie miała, a bez którego nie potrafiła się obyć. Wciąż mieszkała w domu obok. W małych miasteczkach życie płynie wolno; jeśli coś się zmienia, to w sposób prawie niezauważalny.

Chociaż nie, Sophie bardzo się zmieniła. On sam też nie był tym Brandem, którego znała. Już nie czuł się jak jej starszy brat.

Do Sugar Maple nie zaglądał od ośmiu lat. Uroczystości rodzinne odbywały się teraz w domu jego siostry w Nowym Jorku. Z rodzicami widywał się, kiedy odwiedzali go w Kalifornii. Przypomnił sobie dziecięcą zachwyty matki, kiedy wybrali się do Disneylandu: śmiejąc się radośnie, wysiadła z łodzi „Piratów z Karaibów” i ponownie ruszyła na koniec kolejki.

Mama. Opuścił go beztroski nastrój. Przypomnił sobie coś jeszcze. Na tej werandzie huśtała się, czekając na powrót syna – zawsze miał wyznaczoną godzinę – a on, ignorując jej niepokój, wracał, kiedy chciał.

Nie myślał o śmierci matki, o ojcu, o tym, że zawiódł oczekiwania rodziców, dopóki nie znalazł się na porośniętej z obu stron wielkimi klonami ulicy Main. Minawszy centrum biznesowo-handlowe, dotarł do pogrążonej w ciszy części mieszkalnej, gdzie stały domy ogrodzone niskimi białymi płotami. Mieszkańcy spali. "Nie budził ich lekki wiatr, który poruszał zasłonami w otwartych oknach.

Tak wygląda prowincjonalna Ameryka. Tchnie ciepłem i spokojem. Tu, w tym miasteczku, urodził się i stąd – jako młodzieniec – chciał się jak najszybciej wyrwać.

Teraz, stojąc na werandzie domu, w którym spędził dzieciństwo, i szukając klucza, który zawsze chowano nad drzwiami, poczuł obecność matki. Niemal czuł na języku smak jej truskawkowej lemoniady.

Ojciec oznajmił wprost, że nigdy nie wybaczy mu jego nieobecności na pogrzebie. Doktor Sheridan nie rozumiał słów „tajna operacja”, nie uważał, aby uganianie się za największymi przestępcami świata było zajęciem godnym szacunku. Brand usiłował wytłumaczyć ojcu, że lata starannych przygotowań pójdą na marne, jeżeli on, Brand, wyjdzie z ukrycia i pojawi się na pogrzebie, a życie wielu osób znajdzie się w niebezpieczeństwie. Do ojca nie trafiały żadne argumenty.

– Nie chcę słuchać twoich wymówek – oznajmił, kiedy ostatni raz rozmawiali.

– Już i tak jest zły na ciebie – rzekła siostra, jak zwykle realistka, kiedy namówiła Branda na przyjazd do Sugar Maple. – Nie ma sensu, żeby się wściekał na nas oboje.

Marcie zaniepokoił pewien incydent, jak to określiła. Pożar w kuchni. Ojciec zostawił patelnię na ogniu.

Bała się, czy ojciec, który w tym roku kończył siedemdziesiąt cztery lata i który nigdy nie zajmował się domem, poradzi sobie sam ze wszystkim.

Może zaczyna przejawiać oznaki demencji? Właśnie to Brand zamierzał sprawdzić. Wykonać zadanie, do którego nikt się nie palił. No cóż, całe dorosłe życie zajmował się sprawami, od których mądrzejsi trzymali się z daleka.

Znalazł klucz i otworzył drzwi. Nie zapalając światła, wszedł po schodach do pokoju na poddaszu, który kiedyś należał do niego. Niemal w samym progu stało pudło pełne trofeów piłkarskich oraz zdjęć szkolnych; zdjęcie, które kiedyś stało nad kominkiem, leżało na wierzchu.

Brand zdjął buty i wyciągnął się na łóżku, wzbijając chmurę kurzu. Zakaszłał. Łóżko od lat było nieużywane. W całym domu unosił się zapach spalenizny.

Nagle w lampie na suficie zobaczył migoczące refleksy. Po chwili zorientował się, że w ogrodzie dopala się ogień. Wrócił myślami do spotkania z Sophie.

Czy płakała? Zrozumiał, co się stało. Wcale nie wyszła do ogrodu, by uczestniczyć w ceremonii poślubienia nocy. Powiedziała tak, żeby odwrócić jego uwagę. W świetle księżyca, ubrana w suknię ślubną, paliła zdjęcia ślubne, ponieważ jakiś mężczyzna złamał jej serce.

Zamiast smutku, poczuł radość.

Nie chciał, by wychodziła za mąż za jego plecami, bez jego aprobaty. Miał wrażenie, jakby nigdzie nie wyjeżdżał, jakby nie było tych ośmiu lat, które spędzili z dala od siebie. Znów wcielił się w rolę, którą zawsze przy niej odgrywał.

Brata. Obrońcy i opiekuna. Tylko że teraz, gdy miał świeżo w pamięci jej wielkie oczy i piersi przykryte cienkim jedwabiem, nie bardzo czuł się jak starszy brat.

Przyszło mu na myśl, że chyba powinien ją chronić przed samym sobą.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Chyba zadzwonię na policję. – Ojciec stał w drzwiach, mierząc go wzrokiem. – Włamanie jest przestępstwem.

Brand przekreślił się na bok i mrużąc oczy przed światłem wpadającym z korytarza, popatrzył najpierw na ojca, potem na zegar. Po rozmowach z siostrą spodziewał się, że ojciec będzie zaniedbany, zarośnięty, z włosami jak u Einsteina sterczącymi na wszystkie strony. A on, w ciemnych spodniach, wyprasowanej białej koszuli i kamizelce wyglądał schludnie i elegancko. Gęste szpakowate włosy miał starannie uczesane.

– Nie jest, jeśli się ma klucz – odparł Brand. – Cześć, tato.

Dochodziło południe. Spał niemal dwanaście godzin.

– Cóż, to ty jesteś specem od przestępczości. Pewnie gdybym zadzwonił na komisariat, pomachałbyś gliniarzom przed nosem jakąś odznaką i skończyłoby się na tym, że to ja trafiłbym za kratki. Potem wyekspediowałbyś mnie do jakiegoś domu starców. Po to przyjechałeś, prawda?

Oho! Nieźle się zapowiada. Brand wiedział, że musi zachować spokój. Nie ma sensu tłumaczyć ojcu, że pracuje w tajnych służbach, a tajniacy nie noszą odznak. Dla ojca liczyło się tylko jedno: że syn nie poszedł w jego ślady.

– Jak się czujesz, tato?

– Ten pożar każdemu mógłby się przytrafić! Siostra cię tu przysłała, prawda?

Brand odetchnął z ulgą: ojciec jest na tyle sprawny umysłowo, aby wykombinować coś takiego.

- Jest szansa, abym dostał kawę?
- Jak sobie zaparzysz, to jest! – warknął ojciec. – Ja idę do domu obok.
- Do Sophie? – spytał zaskoczony Brand.

Ojciec posłał mu spojrzenie, z którego wynikało, że zaproszenie obejmuje jego, a nie Branda, po czym obrócił się na pięcie i zatrzasnął drzwi.

Jakie miłe powitanie, pomyślał Brand. Z drugiej strony ojciec nie kazał mu się wynosić. Może uda im się naprawić relacje? Chyba że Marcie ma rację. Jeśli ojciec faktycznie traci rozum, jeśli mieszkanie w pojedynkę jest dla niego niebezpieczne i trzeba umieścić go w domu opieki... oj, wtedy relacje raczej się pogorszą, niż polepszą.

- W co ja się wpakowałem?

Westchnął. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał wrócić do domu. Teraz akurat potrzebował kryjówki, a Sugar Maple idealnie się do tego nadawało.

Wstał i przeciągnął się. Dawno nie czuł się tak wypoczęty. W oddali usłyszał kościelny dzwon.

Cztery lata spędził pod przybranym nazwiskiem, obracając się w świecie pieniędzy, przepychu i zbrodni. Sypiał czujnie, z wytężonym słuchem, w każdej chwili gotów przystąpić do działania. Zdarzało się, że musiał wkręcić się w jakieś środowisko, zdobyć sympatię i zaufanie ludzi, których później zamierzał zdradzić.

Brandon Sheridan i Brian Lancaster. Jednym był, drugiego udawał. Nie przewidział, że z czasem te role zaczną mu się mieszać.

Wyspany, wreszcie poczuł się dobrze z sobą. A może nie sen to sprawił? Może wystarczyło, że przejrzał się w oczach Sophie i zobaczył siebie takim, jakim był przed laty?

Wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół, po drodze szukając dowodów na demencję lub niepoczytalność ojca. Nic nie znalazł. Oczywiście wiele rzeczy w domu wymagało naprawy, ale doktor Sheridan nigdy nie miał zdolności manualnych i wprost nie mógł wyjść ze zdumienia, gdy okazało się, że jego syn potrafi posługiwać się tak prymitywnym narzędziem jak młotek.

Jeśli coś jest nie tak, powiedziała przez telefon Marcie, bez trudu się zorientujesz. Wiesz, rękawiczki w lodówce, chleb w pralce...

– Brak rękawic w lodówce – orzekł Brand, zaglądając do środka. – Również brak jedzenia.

Czy powinien donieść o tym siostrze?

Wyszedł do zaparkowanego przed domem sportowego auta, które kupił, zanim wcielił się w rolę Lancastera. Dziś samochód bardziej pasował do Lancastera niż do Sheridana. Musi się go pozbyć.

Miał ochotę na kawę. Czy wszyscy nadal wpadają do Maynarda – rano na kawę, po południu na koktajl mleczny, wieczorem na lody? Nie bardzo palił się do spotkania z owymi „wszystkimi”. Dzielila ich zbyt duża przepaść.

Nim wsiadł do samochodu, usłyszał kobiecy głos:

– Hej, młody człowieku! Podejdź tu!

Starsza kobieta w czerwonym kapeluszu pomachała do niego z werandy sąsiedniego domu. Byli tam również Sophie i jego ojciec. W Sugar Maple Grove ludzie często, przed pójściem w niedzielę do kościoła, zasiadali na werandzie, aby spożyć w spokoju drugie śniadanie. Należało to do miejscowej tradycji.

Dobiegł go zapach dobrej mocnej kawy.

Brand zawahał się, ale ciekawość zwyciężyła: chciał zobaczyć Sophie w świetle dziennym. Ruszył wydeptaną ścieżką łączącą oba domy. Wydeptana ścieżka znaczy, że często się nią chodzi. Pomyślał sobie, że przy okazji musi podziękować Sophie, że troszczy się o jego ojca.

Weranda u Sophie była jak z bajki: szeroka, ocieniona, z wiklinowymi meblami przykrytymi jaskrawożółtymi poduszkami, z pomalowaną na szaro drewnianą podłogą i drewnianymi skrzynkami, z których dosłownie wylewały się białe i fioletowe petunie.

Sophie też była jak postać z bajki. Brand nie widział ojca, nie widział starszej kobiety w czerwonym kapeluszu, widział tylko ją.

– Dzień dobry, Kitku – powiedział, siadając koło niej.

– Nie nazywaj mnie tak – burknęła, po czym przypomniała sobie o zasadach dobrego wychowania. – Babciu, to jest Brandon Sheridan. Brandonie, to moja babcia, Hilde Holtzheim.

– Muszę cię uprzedzić, młodzieńcze, że rano moja wnuczka w niczym nie przypomina słodkiej kici – rzekła Hilde. – Raczej warczącego ratlerka.

Wywnioskował z akcentu, że babka Sophie przyjechała z Niemiec. Zamierzał przywitać się z nią po niemiecku – niemiecki był jednym z trzech języków, które na specjalnych kursach opanował do perfekcji – zanim jednak otworzył usta, Sophie zaprotestowała:

– Ależ babciu, „Kitka” nie jest od kota, tylko od fryzury. Jako nastolatka robiłam sobie takie dwie kitki nad uszami...

– Już wtedy wpadłaś mu w oko? – spytała po niemiecku babka. – Cudownie!

Brand uznał, że zabawniej będzie, jeśli nie przyzna się do znajomości niemieckiego. Oczywiście ojciec nie orientował się, że syn mówi w jakimkolwiek obcym języku.

Hilde uśmiechnęła się szeroko do wnuczki i ciągnęła:

– Przystojny ten twój sąsiad. Gdybyście się... Oj, piękne wyszłyby wam dzieci.

Sophie zerknęła nerwowo na Branda, który siedział z neutralną miną, nie dając niczego po sobie poznać.

– Co powiedziała babcia? – spytał niewinnie.

W białej bawełnianej koszulce i szortach, z lekko potarganymi włosami wysuwającymi się z gumki, bez śladu makijażu na twarzy, Sophie wyglądała na szesnaście lat. Choć naprawdę w wieku szesnastu lat wyglądała jak brzydkie kaczątko przed przeobrażeniem się w łabędzia. Wiedział o tym, bo przysłała mu zdjęcie zrobione podczas swojego przyjęcia urodzinowego.

Przyszło mu do głowy, że Sophie jest jedną z tych kobiet, które pięknieją z każdym mijającym rokiem, a które często aż do pięćdziesiątki zachowują świeżą dziewczęcą urodę.

– Że nie sprawiasz wrażenia faceta, którego interesują koty. – Sophie posłała babce ostrzegawcze spojrzenie.

– A jakie sprawiam?

Wciągnął w nozdrza zapach mydła. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo brakuje mu w życiu prostych przyjemności, takich jak siedzenie na ganku z dziewczyną nieumalowaną, pachnącą lawendowym mydłem, uczesaną w koński ogon. Gdy chowała gołe nogi pod stołem, zdążył zauważyć, że paznokcie u stóp ma pomalowane na różowo.

Wzruszyła go jej skromność i niewinność. W świecie Briana Lancastera coś takiego nie istniało. Kobiety uwielbiające bogatych i skorumpowanych mężczyzn, których on osadzał w więzieniu, były, a raczej dążyły do bycia modelkami lub aktorkami.

Opalone, wygimnastykowane, nosiły tony makijażu i gramy ubrania. W ciągu tych czterech lat chyba ani razu nie widział włosów w naturalnej barwie. Kobiety, które spotykał, były powierzchowne, kochały luksus, umiały manipulować ludźmi. Znajomi mu zazdrościli, ale on sam odczuwał pustkę w sercu.

Starał się nie myśleć o życiu, które porzucił, i o kobietach, których nie interesowały brylanty, ubrania od najdroższych projektantów, luksusowe samochody i wystawne przyjęcia. Siłą rzeczy zanurzał się coraz bardziej w sztucznym, pełnym blichtru świecie. Gdyby w tym czasie pozwolił sobie wrócić wspomnieniami do Sugar Maple i Sophie, przypuszczalnie umarłby z tęsknoty.

– Ty? Ty sprawiasz wrażenie mężczyzny – zaczęła Hilde po angielsku, po czym gładko przeszła na niemiecki – który doskonale całuje.

– Babcia mówi, że sprawiasz wrażenie mężczyzny, który ma duży apetyt – przetłumaczyła Sophie. – Chciałaby, żebyś coś zjadł.

Stół ugiął się od rogalików, muffinek, domowej roboty konfitur, świeżych owoców, dzbanków z wodą i sokiem. Proste śniadanie tak inne od tych, które jadał.

W brzuchu mu zaburczało. Kobieta w czerwonym kapeluszu zerknęła na wnuczkę, po czym uśmiechnąwszy się do Branda, naleła mu soku i kawy.

– Jedz – powiedziała i znów przeszła na niemiecki. – Taki mężczyzna jak on potrzebuje paliwa...

– Babciu, przestań – szepnęła Sophie. – Bądź grzeczna.

– Która z nas jest staruszką, ja czy ty? – zapytała niewzruszona Hilde.
– Spójrz na jego usta.

Sophie szybko odwróciła wzrok.

– Nie masz ochoty ich... – starsza kobieta szukała niemieckiego słowa, w końcu wypaliła po angielsku: – skastrować?

– Skosztować, babciu – poprawiła odruchowo Sophie i zaczerwieniła się. – Brand, babcia radzi ci skosztować konfitur. Są palce lizać.

– Rzeczywiście są doskonale – przyznał Brand.

Przez cały czas doktor Sheridan siedział z rękami skrzyżowanymi na piersi i skwaszoną miną; najwyraźniej rozmowa ta go nie bawiła. Brand przyjrzał się ojcu, szukając oznak niedożywienia. Bądź co bądź lodówkę miał pustą. O dziwo, starszy pan wyglądał zdrowiej niż kiedykolwiek przedtem.

Brand przeniósł spojrzenie na Sophie i znów pomyślał: jak ona wyładniała! Uświadomił sobie, jak dużą przyjemność sprawia mu patrzenie na jej rumieńce, które jakoś nie chciały zniknąć. Po życiu, jakie prowadził, infiltrując latami bogatych handlarzy nowoczesną bronią i fałszerzy banknotów, podobała mu się skromność Sophie, to, że zawstydzona spuszcza wzrok, że się peszy.

Ludzie często mówią, że kiedy opuścisz dom, nie masz po co tam wracać. Może słusznie. Może nawet nie powinno się próbować, pomyślał Brand. Zmieniamy się, stajemy kimś innym. Cóż, szef dał mu miesiąc urlopu. Kazał się gdzieś zaszyć.

W porządku. Nie miał nic przeciwko temu. Miesiąc na prowincji, z dala od zagrożeń. Kiedyś nie podobało mu się w Sugar Maple. Drażniło go, że nic się tu nie dzieje. Teraz doceniał spokój, brak zmian. Nie będzie mu tu źle.

Hilde przyglądała mu się z nieskrywanym zainteresowaniem, mimo że Sophie dźgała ją w bok i błagała po niemiecku, by babka zachowywała się przyzwoicie.

– Twój ojciec wspomniał, że jesteś tajnym agentem. – Hilde odepchnęła łokieć wnuczki.

– Nie – odparł Brand zdziwiony, że ojciec w ogóle cokolwiek o nim mówi. – Należę do formacji, którą stworzono do walki z terroryzmem. Jestem zwykłym żołnierzem.

– To ekscytujące.

– Nie bardzo. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu spędzamy na nudnej robocie, ekscytujący jest zaledwie jeden procent.

– Ale brałeś udział w akcjach pod przykryciem akcji pod pierzyną?

Kątem oka zobaczył, że policzki Sophie ponownie czerwienieją.

– Chodzi pani o tajną akcję? – Uśmiechnął się do Hilde. – Owszem, brałem. Ale to brzmi bardziej podniecająco niż jest w rzeczywistości. – Starsza pani nie wyglądała na przekonaną, więc zmienił temat. – Sophie, nie mieliśmy wczoraj czasu, żeby pogadać. Ile to lat minęło? Osiem? Czym się zajmujesz?

– Wczoraj? – Doktor Sheridan aż podskoczył.

Sophie zaczęła energicznie rozsmarowywać marmoladę na rogaliku. W Brandzie, który zorientował się, że wołałaby zachować wczorajszy wieczór w tajemnicy, natychmiast obudził się instynkt ochronny.

– Widzieliśmy się przez moment, kiedy przyjechałem.

Obserwował ją spod oka. Przekonawszy się, że nie będzie opowiadał wszem wobec o sekretnej ceremonii, którą odbywała nocą w ogrodzie, odetchnęła z ulgą.

Hm, jeśli dobrze pamiętał, Kitka nie przepadała za marmoladą.

– Aha – burknął ojciec.

Hilde natomiast sprawiała wrażenie zawiedzionej. Sophie ugryzła kawałek rogalika i potwornie się skrzywiła.

– Daj, ja to zjem – rzekł Brand, podsuwając jej własnego rogalika i miseczkę konfitur. – Konfitury chyba lubisz?

Uniósł pytająco brwi.

– Pracuję w Towarzystwie Historycznym – rzekła, odpowiadając na jego poprzednie pytanie. – Pewnie uważasz, że to strasznie nudne zajęcie.

– A to nieprawda! – zawołał Sheridan senior. Sophie jest jedynym pracownikiem na etacie. Porządkuje dokumenty. Jest znakomicie zorganizowana. Poza tym pisze książkę.

– Niezupełnie – sprostowała Sophie. – Na razie zbieram materiały. To będzie zbiór wspomnień o Sugar Maple Grove z czasów drugiej wojny światowej. Nie piszę, tylko dokonuję wyboru.

Brandowi przemknęło przez myśl, że kiedyś faktycznie uznałby takie zajęcie za nudne. Ale spędziwszy cztery lata w towarzystwie pięknych, lecz porażająco tępych kobiet, był zaintrygowany pracą Sophie.

Ojciec z zapalem zaczął opowiadać o książce. Słuchając go, Brand miał nadzieję, że jednak Marcie myli się co do stanu zdrowia staruszka. Nagle nastrój przy stole się zmienił. Przed domem przejeżdżał czerwony samochód sportowy. Kierowca zwolnił i dostrzegłszy ludzi na werandzie, zatrzymał się na podjeździe.

Sophie, która odpreżyła się, gdy doktor Sheridan mówił o bohaterach z Sugar Maple, teraz zamarła. Wyglądała tak, jakby za moment zamierzała rzucić się do ucieczki.

– Co za tupet – mruknęła babka, potem przeszła na niemiecki. – Najchętniej zanurzyłabym drania w miodzie i przywiązała nagiego do mrowiska.

Brand, doświadczony w nieujawnianiu emocji, nie dał po sobie poznać, że wszystko rozumie. Z obojętną miną patrzył, jak z samochodu

wysiada młody mężczyzna. Potrafił również bezbłędnie ocenić czyjąś pozycję społeczną i finansową: o statusie gościa świadczyło drogie auto, sweter od Armaniego, spodnie zaprasowane w kant, sygnet połyskujący na małym palcu.

– Synek mamusi – syknął z pogardą doktor, po czym zerknął na Branda. – Oczywiście, nie zawsze to jest wada.

Brand nie zwracał uwagi na ojca; skupiony był na Sophie, która zbladła, a dłonie zacisnęła w pięści. Zgarbiła się lekko, jakby chciała stać się niewidoczna. Nasunął mu się obrazek z przeszłości. Wraz z kolegami grali w parku, na końcu Main, w kosza. Sophie wracała do domu ze szkoły. Miała trzynaście lat, niedawno zwyciężyła w konkursie oratorskim.

– Hej ty, z szyną na zębach! – zawołał do niej jakiś miejscowy łobuz. – Wiesz, co przysłania uroki życia w małym miasteczku? Takie gówniary jak ty!

Brand odruchowo wbił oczy w Sophie. Skuliła się, jakby chciała zapaść się pod ziemię. Niewiele się zastanawiając, przebiegł na drugą stronę ulicy, chwycił chłopaka za kołnierz, pchnął na mur i docisnął.

– Zaczepisz ją jeszcze raz i gorzko pożałujesz – rzekł z cichą furią w głosie. – Rozkwaszę ci nos, połamię kości, stłukę na miazgę gębę. *Comprende?*

Najwyraźniej już wtedy miał predyspozycje, które później uczyniły z niego świetnego żołnierza piechoty morskiej. Oczywiście w wojsku nauczył się kontrolować wybuchy złości, a siły używać mądrze, wyłącznie w sytuacji, gdy to było absolutnie konieczne.

Kiedy przyparty do muru łobuz skinął przerażony głową, Brand puścił go, dogonił Sophie, wziął od niej książki, które przyciskała mocno do piersi.

– Unieś wysoko głowę, Kitku – powiedział. – Patrz z góry na takich pędraków.

Nie podziękowała mu.

– Pędrak to larwa chrząszcza – zauważyła i zaczerwieniła się, jakby powiedziała coś niestosownego.

– Pędrak to ten gnój. – O dziwo, on też się zaczerwienił.

Siedząc dziś koło niej, zastanawiał się, czy od tamtego czasu zdarzyło się, aby on się czerwienił. Raczej nie.

Ona jednak nadal się rumieniła.

Nagle zobaczył, że Sophie powoli odsuwa fotel. Z jakiegoś powodu wiedział, że nie może pozwolić jej uciec. Że tak jak tamtego dnia przed laty, powinna unieść wysoko głowę. Na wszelki wypadek położył rękę na jej ramieniu.

Zerknęła na niego, lecz on patrzył na faceta, przez którego siedziała spięta. Mężczyzna wszedł po schodkach (miał drogie mokasyny włożone na gołe stopy) i uśmiechnął się szeroko. Dzięki porcelanowym licówkom zęby miał idealnie białe i równe.

– Miłe panie... doktorze... Dzień dobry. Zdawał się nie zauważać, że nikt nie ucieszył się na

jego widok. Prawdę mówiąc, trudno byłoby o mniej entuzjastyczne powitanie.

Spostrzegłszy Branda, uniósł brwi, po czym wyciągnął rękę. Brand uścisnął dłoń mężczyzny; miał wrażenie, jakby ścisnął zdechłą rybę. Nie odwzajemnił uśmiechu. Kątem oka widział, jak Sophie gniecie nerwowo obrus.

– Brandon Sheridan – przedstawił się.

– Nasz bohater wojenny! Proszę, proszę! – W głosie mężczyzny Brand wyłowił lekko protekcyjną nutę. – Jestem Gregg Hamilton.

No tak, Hamiltonowie. Białe kołnierzyki. Stare pieniądze. To wszystko tłumaczyło.

– Wydaje mi się, chodziłeś do szkoły z moim bratem Clarence'em.

Tak, Brand pamiętał małego zarozumialca. Chyba nawet kiedyś mu przylał za to, że ten zadzierał nosa.

Na szczęście wojsko nauczyło go radzić sobie z gniewem. Co prawda ojciec wciąż uważał, że wstępując do piechoty, syn popełnił błąd, ale Brand wierzył, że postąpił słusznie.

Wzruszył ramionami, nie zdradzając emocji. Opanował tę sztukę do perfekcji.

– Mama mówiła mi, że wpadła tu wczoraj – ciągnął Gregg, zwracając się do Sophie. – Ja w swoim imieniu również pragnę cię zaprosić na nasze przyjęcie zaręczynowe. Oboje z Toni będziemy szczęśliwi, jeśli przyjdiesz. Myślę, że ją polubisz. Może nawet się zaprzyjaźnicie?

– Idź do diabła, gnido! – mruknęła po niemiecku Hilde Holtzheim.

Nagle Brand złożył razem kilka elementów układanki: wczorajszą Sophie w sukni ślubnej, płomień pożerający rekwizyty ślubne, jej dzisiejsze napięcie na widok niespodziewanego gościa. Rany boskie, chyba nie zamierzała poślubić tej... gnidy?

Zerknął na Sophie; przyklejony do ust sztuczny uśmiech świadczył o tym, że tak. Nie tylko zamierzała wyjść za Gregga Hamiltona, ale chyba żałowała, że to się nie stanie! Ceremonia przy ognisku, którą wczoraj niechęć przerwał, była aktem rozpacz...

– Nie sprawdzałam jeszcze kalendarza – odrzekła Sophie, nie chcąc niczego obiecywać. – Przypomnij mi, jaki to dzień?

Wszystko można było wyczytać z jej twarzy: ból, smutek... Gregg też to widział. I pewnie napawał się tym, jaką władzę ma nad biedną Sophie.

Brand łypnął na niego wrogo. Tylko patrzeć, a facet wysunie fotel, poczęstuje się rogalikiem...

Zerknął ponownie na Sophie. Przypomniało mu się, jak mniej więcej rok przed jego wyjazdem zobaczył ją siedzącą samotnie na werandzie. Słuchała muzyki, która dochodziła z pobliskiej szkoły. On z kolei bardzo się gdzieś spieszył. Choć wtedy to było takie ważne, dziś nawet nie pamiętał, gdzie. Zapamiętał natomiast smutną twarz Sophie.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic.

– Nie kłam, Kitka. Dlaczego nie jesteś na szkolnej zabawie?

– To Bal Zakochanych. – Usta jej zadrgały. – Nikt mnie nie zaprosił.

Czy dziewiętnastolatek lubi, kiedy dziewczyna płacze? Gdyby był lepszym człowiekiem, może zrezygnowałby z własnych planów, przebrał się i zabrał ją na bal. Nie zrobił tego. Pogładził ją po głowie, powiedział, że szkolne bale to durny wymysł i ruszył do własnych zajęć.

Ni stąd, ni zowąd pomyślał o listach, które do niego pisała, kiedy wstąpił do wojska. Sprawiały mu autentyczną przyjemność. Nigdy jej jednak nie odpisał.

Czy czekała z niecierpliwością na listonosza?

Może dlatego, że dawniej ją zawiódł, teraz postanowił jej pomóc. Prowadząc różne tajne działania, nauczył się szybko oceniać sytuacje. Gregg wyraźnie miał nad Sophie przewagę. Niewiele się namyślając, Brand rzucił się jej na ratunek.

– Chyba Sophie będzie musiała odmówić. Przyjechałem na krótko. Chcemy maksymalnie wykorzystać czas razem, prawda, skarbie?

Obrócił się do niej twarzą. Sophie nie była dobrą aktorką. Jeśli Hamilton zobaczy, jak zdumiona wytrzeszcza oczy, domyśli się prawdy: że nadal go kocha.

Istniało tylko jedno wyjście. Brand pochylił się, delikatnie przytknął usta do jej ust i zaczął ją całować. Cel został osiągnięty. Sophie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby byli na werandzie tylko we dwoje, jakby Gregg rozpląnął się w powietrzu. Czubkiem języka oblizwała wargi. W jej oczach pojawił się wyraz rozmarzenia.

Bez względu na to, w co wierzyła, nie kochała Gregga Hamiltona. Ani dziś go nie kochała, ani dawniej.

Brand nie był ekspertem w sprawach miłości, uznał jednak, że usta nie kłamią. A ich usta do siebie lgnęły.

– No cóż... – Gregg wyraźnie stracił rezon. – Jeśli chcesz, Sophie, możesz oczywiście przyjść ze swoim przyjacielem.

Tym razem zaproszenie nie brzmiało już tak szczerze.

– Och, to miło. Może rzeczywiście wpadniemy – powiedział Brand.

Gregg wsiadł do samochodu i odjechał z piskiem opon. Brand obiecał sobie, że postara się jak najszybciej pozbyć własnego wozu sportowego.

– Podobał ci się? – spytała wnuczkę Hilde.

– Co? Kto? – Sophie wciąż sprawiała wrażenie oszołomionej.

– Pocałunek – odparła po niemiecku babka.

– Nie. Tak. – Sophie zamknęła oczy i potrząsnęła głową. – Babciu, przestań, proszę. – Skierowała spojrzenie na Branda. – Dlaczego to zrobiłeś?

Starał się zachować powagę. Walczyła sama z sobą, nie wiedząc, czy powinna go spoliczkować, czy raczej mu podziękować. Wszystko miała wypisane na twarzy. Także to, że pocałunek zburzył jej spokój, do czego nie

chciała się przyznać. Zburzył również spokój Branda, do czego on też nie chciał się przyznać.

– Twojego eksa za bardzo cieszył twój dyskomfort. Trochę mnie to zirytowało.

– Skąd wiesz, że Gregg to mój eks?

– Znam się na ludziach, umiem odczytywać ich reakcje. – To była niezbędna umiejętność w jego pracy; od tego zależało jego bezpieczeństwo i przetrwanie. – Dobrze, że już z nim nie jesteś. Facet mi się nie podobał.

Hilde roześmiała się z aprobatą. Wnuczka znów jej posłała ostrzegawcze spojrzenie.

– Widziałeś go zaledwie przez minutę!

Brand wzruszył ramionami.

– Tak jak powiedziałem: znam się na ludziach.

– Jak całuje? – spytała po niemiecku babcia.

– Przestań!

– Co mam przestać? – spytał z niewinną miną Brand.

– Wybawiać mnie z opresji – odparła Sophie. – Już nie mam piętnastu lat. Sama sobie poradzę.

Miała rację. Nie powinien mieszać się do jej spraw.

– Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Wyglądała na zawiedzioną.

– Chyba że sama będziesz tego chciała – dodał.

– O, tak! – zawołała po angielsku Hilde, ściskając Branda za rękę. –

Całe miasteczko mówi o Greggu i Sophie. Wolałabym, żeby mówiło o niej i o tobie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sophie wciąż dźwięczały w uszach słowa Branda: chyba że sama będziesz tego chciała. Chyba? A to dobre! Dawna okularnica z aparatem na zębach, zdobywczyni lokalnej sławy za „Uroki życia w małym miasteczku”, nie marzyła o niczym innym. Wargi paliły ją od pocałunku. Czuła się jak śpiąca królewna, którą obudził dotyk ust wspianego księcia. Podświadomie czekała na tę chwilę, odkąd jako chuda, niezdarna nastolatka zamieszkała obok Branda.

Jego usta miały smak namiętności, obietnic, nieznanych światów, o jakich istnieniu nawet nie wiedziała. Światów, które teraz, po tym jednym pocałunku, bardzo chciała poznać. Kto by nie chciał?

Najwyższym wysiłkiem woli wzięła się w garść. Nie po to urządziła wczoraj ceremonię palenia pamiątek, żeby dziś znów snuć niedorzeczne romantyczne wizje. Niech Brand nie myśli, że ona wciąż jest tą samą marzycielką, jaką była w wieku piętnastu lat. I że jedno muśnięcie warg wystarczy, aby gotowa była wyruszyć na podbój nieznanych lądów.

Co to, to nie. Zamierzała ponownie przejąć kontrolę nad własnym życiem i emocjami. Jeżeli Brand uważa, że jest słaba i potrzebuje jego pomocy, to się myli.

Ale Brand spoglądał z powagą na Hilde.

- Niedobrze jest stracić twarz, kiedy się mieszka w małym miasteczku.
- Niedobrze! – potwierdziła babka uradowana.
- Sophie powinna przeżyć namiętny romans, żeby wszyscy zapomnieli, że kiedykolwiek kochała Gregga – ciągnął z namysłem.
- Absolutnie! – zawołała babka, zachwycona przenikliwością Branda.

– W porządku, zrobię to.

– Co? – spytała Sophie.

– Uwiodę cię.

– Po moim trupie!

– Pokażemy Greggowi i reszcie miasteczka, że przestałaś rozpaczać po waszym rozstaniu – stwierdził takim tonem, jakby wszystko zostało postanowione.

– To byłoby oszustwo – sprzeciwiła się Sophie, ale w jej głosie pobrzmiwała nuta niepewności.

– Będzie zabawnie.

– Wątpię.

Uniósł brwi, po czym zapytał:

– Czego się boisz?

W tej sytuacji nie miała wyjścia: musiała się zgodzić. Gdyby zaczęła protestować, domyśliłby się, że ona boi się, że mógłby zburzyć jej mały bezpieczny świat, którego już nigdy nie zdoła na nowo skleić. W głębi duszy jednak podobał się jej pomysł „ratowania” twarzy. Nie chciała, aby wszyscy patrzyli na nią z politowaniem.

– Hm, może faktycznie moglibyśmy odegrać romansik. Oczywiście starannie wyreżyserowany.

– Niech zgadnę. Reżyserem byłabyś ty?

Jeżeli miała przystać na ten pomysł, chciała przynajmniej nad wszystkim panować.

Brand przyglądał się jej w milczeniu, z rozbawieniem i wyzwaniem w oczach, które lśniły niczym gwiazdy na nocnym niebie. Takie spojrzenie może kobietę onieśmielić, odebrać jej pewność siebie, wolę walki. Nie wolno jej na to pozwolić. Wczoraj odeszła dawna Sophie, strachliwa i

uległa. Narodziła się nowa, która niczego nie pozostawia losowi, która o wszystkim sama decyduje.

– Na jak długo przyjechałeś? – zapytała.

– Mniej więcej na miesiąc. Mam sporo zaległego urlopu.

– Na miesiąc? – wykrzyknął ojciec i posłał Hilde wymowne spojrzenie, z którego bez trudu można było wyczytać, że obecność syna ograniczy ich swobodę.

Brand zmrużył oczy, po czym przeniósł wzrok i ojca na Hilde. Starsza pani nie posiadała się ze szczęścia. Miesiąc? Wspaniale! Widać było, że już zaczęła planować jego ślub ze swoją wnuczką. Sophie też to zauważyła i błagała ją w duchu, aby wizje domu, które snuła, domu dudniącego tupotem małych nóżek, zachowała dla siebie. Żeby nie mówiła o tym nawet po niemiecku.

Napotkała spojrzenie Branda. Pomyślała, że ktoś, kto tak fantastycznie całuje, byłby również świetnym ojcem. Po chwili przywołała się do porządku. Jeśli ma zachować kontrolę, nie może rozmyślać o Brandzie jako o ojcu swoich dzieci.

– Co chcesz robić tyle czasu? – zapytał ponuro doktor Sheridan. – Już po trzech dniach będziesz umierał z nudów. Ba! Po trzech godzinach!

Dawny Brand, porywczy, niecierpliwy, impulsywny, zacząłby się spierać z ojcem, tłumaczyć mu, że się myli, choć zdaniem Sophie raczej się nie mylił. Dzisiejszy Brand potrafił zachować spokój, przez co trudniej było go rozszyfrować.

– Myślę, że co najmniej miesiąca będę potrzebował, aby naprawić w domu parę rzeczy.

Sophie domyśliła się, że naprawy wymagają nie tylko skrzypiące zawiasy, ale również relacje między ojcem a synem. I że obaj Sheridanowie

będą potrzebowali jej pomocy. W porządku. Nie wolno jej się tylko zdradzić, jakie wrażenie wywarł na niej pocałunek Branda. Nie jest już zadurzoną piętnastolatką, której na sam widok Branda kręci się w głowie. Jest dorosłą kobietą, nieczułą na jego wdzięki. Musi o tym pamiętać.

– No dobrze – powiedziała, wykonując skok na głęboką wodę. – Skoro spędzisz tu miesiąc, to faktycznie możesz mi pomóc. Całe miasteczko sądzi, że usycham z tęsknoty za byłym narzeczoną, który lada dzień ma ogłosić swoje zaręczyny z inną.

– A usychasz?

– Nie żartuj! – oburzyła się, a jednocześnie zaczerwieniła. – Więc tak, przyjmuję twoją propozycję. Możesz udawać mojego absztyfikanta.

Miała wrażenie, jakby z wysokiego klifu rzuciła się w przepaść. Ona, która cierpi na lęk wysokości.

– Absztyfikanta? – Roześmiał się. – Kto w dzisiejszych czasach używa takich słów? Obawiam się, że zbyt wiele czasu spędzasz w tym swoim Towarzystwie Historycznym.

– Jesteś tak irytujący jak dawniej! – warknęła. Czy on nie rozumie, że przyjmując jego propozycję, trudno było jej zachować godność?

– Irytujący? Ja? – zdziwił się.

– A pamiętasz, jak powiedziałeś, że idziesz do biblioteki, więc dałam ci moje książki, żebyś je zwrócił? A ty ich nie zwróciłeś!

– Bo wcale nie szedłem do biblioteki.

– Wiem. Musiałam zapłacić sześć dolarów kary.

– Podejrzewam, że to twoje jedyne wykroczenie?

– Albo kiedy zjawiłeś się w moim domu z kotem na rękach, dwie minuty przed tym, jak miałam wyjechać na obóz muzyczny?

– Przecież pokochałaś tego kociaka.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że się spóźniłam. Nie dostałam instrumentu, na którym mi zależało. Przez tydzień musiałam grać na tubie. Z twojej winy.

– Obozy muzyczne są dla kujonów i gogusiów.

– O, właśnie! – zawołała. – Widzisz, jaki jesteś irytujący? Musisz się bardziej kontrolować podczas naszego... romansu. – Słowo to ledwo przeszło jej przez gardło.

– Wciąż grasz na tubie? Przysłałaś mi kiedyś płytkę. Zaraz po tym, jak wstąpiłem do wojska.

– Nieprawda!

– Pieśń miłosna. Na tubie.

– To nie była tuba, tylko flet – powiedziała cicho. – Mój wymarzony instrument.

Zrobił zabawną minę. Dlaczego?

– Wiesz, zbyt pochopnie podjęłam decyzję. Chyba nie jestem aż tak zdesperowana, żeby chcieć cię na swojego ab... adoratora.

– A ja się tak nastawiłem...

– Nastawiłeś? Czyli wycofujesz się?

– Sądziłem, że ty się wycofujesz.

– Bynajmniej.

– Ciekaw byłem, czy ten ważniak, ten supertajny agent, potrafi bezinteresownie pomóc swojej dawnej sąsiadce – do rozmowy wtrącił się doktor Sheridan. –Możesz mi wierzyć, Sophie, dobre uczynki nie leżą w jego naturze.

Sophie zdumiała gorycz w głosie starszego pana. Brand podskoczył, atmosfera stała się nerwowa. Lecz dawny Brand, który podjąłby rękawicę, zniknął. Jego miejsce zajął Brand spokojny, opanowany i cierpliwy.

– Jestem żołnierzem, tato. Wypełniam rozkazy. Brałem udział w ważnej misji. Nie udzielono mi urlopu. I tyle.

– Jasne – mruknął ojciec.

– Gdybym mógł, przyjechałbym na pogrzeb.

– Jasne.

– I jeśli tylko Sophie się zgodzi, odegramy wspaniałe przedstawienie.

Serce jej zabiło szybciej. Udawanie, że są parą, to nie najmądrzejszy pomysł. Z drugiej strony czy może pozbawiać Branda szansy, aby choć w małym stopniu zrehabilitował się w oczach ojca?

Oboje mogliby na tym skorzystać.

Popatrzyła na mężczyznę. Mierzyli się wrogim spojrzeniem. Wiedziała, że musi rozładować napięcie.

– Tak, Sophie się zgadza – oznajmiła.

– Brawo! – ucieszyła się babcia.

– Bez sensu – mruknął doktor Sheridan.

– Eee... super – powiedział po chwili wahania Brand.

– Wszystko starannie obmyślę – rzekła Sophie, zapalając się do pomysłu. – Będziemy musieli odbyć kilka randek, żeby widziano nas razem. Wybrać się na lody do Maynarda, na dwie lub trzy przejażdżki rowerowe, może nad Blue Rock. I wreszcie na przyjęcie zaręczynowe do Hamiltonów.

Brand obserwował Sophie, wiedząc, że próbuje rozładować napiętą atmosferę na werandzie. Zawsze taka była; nawet w dzieciństwie chciała, by dookoła panował spokój i harmonia jak na obrazach Rockwella.

Tyle że nie była już dzieckiem. Jeśli jej usta nie kłamały, a dałby sobie rękę uciąć, że tak jest, była dojrzałą kobietą. Dojrzałą, lecz jednocześnie bardzo naiwną w sprawach damsko-męskich. Bo czy romans wymaga starannych przygotowań, układania planu zajęć?

A może wymaga tego pozorowany romans?

Brand poczuł ciarki na plecach. Zawsze go ostrzegały przed zagrożeniem. Robił wiele niebezpiecznych rzeczy, lecz żadna z nich nie umywała się do odgrywania roli chłopaka Sophie Holtzheim.

Na miłość boską, co mu strzeliło do głowy?

To proste. Chciał jej pomóc, chronić ją, osłaniać przed złem. Poza tym ma spędzić w Sugar Maple miesiąc. Czymś trzeba się zająć, by nie zwariować z nudów.

Ojciec odsunął fotel od stołu.

– Spóźnimy się do kościoła...

– Już czas? – zapytała Hilde, po czym dodała po niemiecku: – Sophie, zostawiamy was samych. Nie siedźcie metr od siebie.

Po chwili starsi państwo wyszli. W ciszy, jaka nastąpiła, słychać było śpiew ptaków i bzyczenie pszczoł. Brand czekał, ciekaw, czy Sophie zmniejszy dzielący ich dystans. Tak jak się spodziewał, nie zrobiła tego.

– Twoja dziewczyna nie sprzeciwi się naszemu... romansowi? – spytała, nieudolnie szukając drogi ucieczki.

– Nie mam dziewczyny. Moja praca nie sprzyja związkom. Przez cztery lata prowadziłem tajne akcje. Jaka kobieta by to wytrzymała?

– Właściwa. Taka, która by cię kochała. Nieważne, co się robi. Ważne, kim się jest.

– Jestem kimś, kto nie może rzucić roboty, bo akurat są urodziny żony albo rocznica ślubu. Moja praca wymaga poświęcenia, pełnego zaangażowania. Czasem muszę udawać żonatego, wtedy w żonę wciela się agentka. Jak by się wtedy czuła ta prawdziwa, która czekałaby w domu?

– Źle?

– Bardzo źle.

– No dobra, więc nie jesteś z nikim związany.

– Nie.

– Jeżeli umiejętnie wszystko rozegramy, może twój ojciec zmieni swój stosunek do ciebie? Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie jest z ciebie dumny.

– Byłby, gdybym poszedł na medycynę, został lekarzem i z czasem przejął jego praktykę w Sugar Maple. Niestety wybrałem inną drogę.

– Pamiętam, jak zszokowani byli twoi rodzice, kiedy rzuciłeś studia i wstąpiłeś do wojska.

– Nasze drzewo genealogiczne sięga ośmiu pokoleń wstecz. Wśród moich przodków są lekarze, profesorowie, pisarze. I nagle ja: wojak. Nie chciałem iść wytyczoną ścieżką.

– Dlaczego wybrałeś akurat piechotę morską?

– W college'u uwielbiałem wspinaczkę skałkową. Któregoś dnia zobaczył mnie na ścianie oficer werbunkowy; spytał, czy nie chciałbym robić tego zawodowo. Taka praca wydała mi się niesamowicie ekscytująca.

– Nie rozczarowałaś się?

– Tak jak powiedziałem twojej babce: dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu człowiek ziewa z nudów, a jeden procent to istne szaleństwo.

Uśmiechnęła się.

– I ty kochasz ten jeden procent. Nie umiesz żyć bez adrenaliny.

– Właśnie tego moi rodzice nie byli w stanie pojąć: że wojsko to idealne miejsce dla takich jak ja. Zawsze lubiłem przygodę, ryzyko. Rozsadzała mnie energia. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, a w wojsku mogłem tę energię z pożytkiem wydatkować, jednocześnie przestrzegając dyscypliny. –Zamilkł. – Ojciec nie potrafi mi wybaczyć, że

dokonałem takiego wyboru. Nasze relacje popsuły się jeszcze bardziej, kiedy nie przyjechałem na pogrzeb mamy.

– Naprawdę nie mogłeś?

Potrząsnął głową.

– Żyłem w innym świecie. Nikt nie znał mojej prawdziwej tożsamości. O śmierci mamy dowiedziałem się podczas spotkania z moim „opiekunem”. To był mój jedyny kontakt z normalnym światem. Im mniej człowiek widuje ludzi ze swojego starego życia, tym lepiej. W owym czasie musiałem bardzo się mieć na baczności, uważać na wszystkich i wszystko. Jeden niewłaściwy ruch i mogłoby zginąć wiele osób. Cztery lata wyrzeczeń i ciężkiej pracy poszłyby na marne. Powiedziałem ojcu prawdę: jestem żołnierzem i wykonuję polecenia. Nawet gdyby decyzja o przyjeździe należała do mnie, nie przyjechałbym. To by mogło narazić na niebezpieczeństwo cały nasz zespół. Jest jeszcze jeden aspekt. Brałem pod uwagę, że ktoś mógłby mnie śledzić, a potem próbować na mnie wpłynąć, grożąc zabiciem mojego ojca lub wysadzeniem szkoły w Maple Sugar.

Słuchała go z szeroko otwartymi oczami.

– Mówiłeś o tym ojcu?

– On mnie nie słucha – odparł Brand, zdziwiony, że tak wiele powiedział Sophie. Na ogół się nie zwierzał.

– Czy teraz coś ci grozi?

– Moja tożsamość będzie chroniona nawet podczas rozpraw w sądzie. Przez jakiś czas mam unikać rozgłosu, nie podejmować żadnych ryzykownych działań.

Ani ojciec, ani Sophie nie wiedzieli, na czym dokładnie polega jego praca. Gdyby ich wtajemniczył, gdyby zrozumieli, jakie niebezpieczeństwa na niego czyhają...

Nie, wolał, by ojciec był na niego zły, niż żył w ustawicznym strachu o syna. A Sophie? Jej tym bardziej nie chciał narażać na niepokój. Miał nadzieję, że ten udawany romans nie wyrządzi jej krzywdy.

Musi to potraktować jak kolejne zadanie. Czyli działać chłodno, bez emocjonalnego zaangażowania.

Popatrzył na Sophie. Wymyślała dla nich randki; po chwili miała gotowy plan. Wysłuchał jej w milczeniu. A zatem lody i wycieczka rowerowa. Jakie to wszystko niewinne, pomyślał. Ogarnął go strach. Czy zdoła dobrze zagrać rolę, jaką dla niego przygotowała?

Czekała na reakcję Branda, który podniósł do ust rogalika z marmoladą.

– Będzie zabawnie – powiedział.

Za późno przypomniał sobie, że też nie cierpi marmolady. Dla wprawy, by poćwiczyć udawanie, przełknął kęs i oblizał się ze smakiem. W oczach Sophie odmalowało się niedowierzanie. Przestraszył się. A jeśli przejrzy go na wylot? Jeśli zobaczy, co się kryje pod maskami, które wkłada? Nie denerwuj się, nakazał sobie. Pomyślał o zadaniu, które wykonywał przez cztery lata. Nawiązywał przyjaźnie. Pozyskiwał zaufanie. Pracował z ludźmi, których poznał, bywał u nich w domu, chodził na chrzciny ich dzieci, na śluby córek.

Dzięki jego pracy dokonano dwudziestu trzech aresztowań w kilku różnych krajach. Owszem, to byli przestępcy, ale on ich znał prywatnie: jako ojców, synów, mężów. Może jednak jego własny ojciec nie myli się w ocenie; może on, Brand, ma serce czarne jak as pik.

Od samego rana pracował w ogrodzie za domem ojca, usiłując zaprowadzić porządek w rabatach róż. W ten sposób, przywracając do życia

kwiaty, które matka kochała, chciał uczcić jej pamięć. Może za rok ogród znów znajdzie się na liście najładniejszych w Sugar Maple Grove?

Akurat usuwał z ręki kolec, kiedy poczuł znajome mrowienie na karku. Obrócił się dyskretnie. Po drugiej stronie żywopłotu mignął mu czerwony kapelusz. Uśmiechnął się: był obserwowany.

– Spójrz! – zawołała po niemiecku Hilde. – Zdjął koszulę.

Owszem, zdjął. Nie dlatego, że było gorąco, ale dlatego, że zaczęły o nią kolce.

– Babciu!

Kątem oka zobaczył, że Sophie nie zdołała oprzeć się pokusie i podeszła do babki. Udając, że nie widzi kobiet, napiął mięśnie i starał się nie roześmiać, kiedy usłyszał cichy okrzyk zachwyty.

– Krew mu leci – szepnęła babka. – Przynieś plaster.

– Oj, babciu!

– Idź do niego – nalegała po niemiecku Hilde.

– Nie!

– Nie znasz się na uwodzeniu!

– Wiem, wiem. Niewiele brakowało, a byłabym mężatką.

Brand podniósł z trawy koszulę, otarł pot, po czym podszedł do ogrodzenia i udał zaskoczonego.

– Dzień dobry paniom. Jaki ładny poranek.

– Cześć, Brand. – Sophie przecisnęła się przez otwór w żywopłocie. Lub, co bardziej prawdopodobne, została do niego wepchnięta.

Chyba szła do pracy, bo miała na sobie białą koszulę w drobne granatowe paski, prostą granatową spódnicę i buty na płaskim obcasie. Wyglądała jak bibliotekarka.

Włosy upięte w kok potęgowały to wrażenie. Tak samo jak okulary na nosie, podobne do tych, jakie nosiła w dzieciństwie. Brand ze zdumieniem odkrył, że podobają mu się bibliotekarki. Wyobraził sobie, jak zdejmuje jej okulary, wyciąga spinki z włosów, odpina górny guzik koszuli...

Sophie patrzyła na niego, jakby nigdy nie widziała mężczyzny z gołym torsem. Zaczerwieniła się, a potem przełknęła ślinę i obejrzała się za siebie. Ależ miał frajdę! Ucieszony jej zmieszaniem, skrzyżował ręce na piersiach.

– Krwawisz – szepnęła po niemiecku babcia, podpowiadając wnuczce kwestię.

– Ale jesteś opalony – oznajmiła Sophie.

– W Hiszpanii mieszkałem na jachcie.

– Podczas tajnej misji?

– Tak.

Mogła zadać tyle różnych pytań. Dlaczego na jachcie? Czy był luksusowy? Jak ci się podobało w Hiszpanii? Czy udawałeś bogacza? Czym się na co dzień zajmowałeś? Kogo usiłowałeś schwytać?

Ona jednak, patrząc mu w oczy, zapytała:

– Bałeś się?

Wcześniej gotów był przysiąc, że nie. Ale dopiero teraz, kiedy stał z Sophie w ogrodzie, w ciszy przerywanej głośniejszym świergotem ptaków i cykaniem owadów, czuł brak strachu.

– Chyba tak – odparł po chwili. Po raz pierwszy w życiu się do tego przyznał.

– Musiało ci być okropnie ciężko.

Napiął lekko mięśnie i pokręcił głową.

– Nie. W końcu to praca.

Sophie zmrużyła oczy. Wiedział, że jej nie oszukał.

– Dlaczego się rozstaliście? – spytał, żeby zmienić temat.

Zakłopotana odwróciła wzrok.

– Jako twój nowy absztyfikant powinienem wiedzieć, dlaczego Gregg był na tyle głupi, żeby z tobą zerwać.

– To nie on mnie rzucił – powiedziała cienkim głosem. – To ja mu powiedziałam, że potrzebuję czasu do namysłu. I kiedy się namyślałam, on już kogoś sobie szukał.

Idiota, uznał Brand.

– Nad czym się tak zastanawiałaś?

– Nie wiem. Czegoś mi brakowało.

– W takim razie mądrze zrobiłaś, zrywając zaręczyny.

– Naprawdę?

– Tak. – Sam był zaskoczony, z jakim przekonaniem to powiedział. – Miałaś wspaniałych rodziców, którzy bardzo się kochali. Może po prostu tęskniłaś za nimi, za tym, co straciłaś, kiedy umarli.

– Może... – Speszona popatrzyła za siebie. – Idę do pracy. Chciałam ci tylko powiedzieć, że przygotowałam plan. – Wskazała na plik kartek, które ścisnęła w dłoni. – Zamierzałam włożyć to do twojej skrzynki na listy, ale skoro się widzimy...

Wcisnęła mu kartki do ręki i obróciwszy się na pięcie, zniknęła za żywopłotem.

– No a rana? A krew? – spytała po niemiecku babka. – Miałaś przykleić mu plaster.

– Nie umrze. A ja jestem już spóźniona.

– Oj, dziecko, dziecko...

Brand rozłożył kartki i westchnął. Miał ochotę powtórzyć za Hilde: oj, dziecko, dziecko. Na pierwszej stronie widniał napisany dużym

wytluszczonym drukiem napis: „Plan uwodzenia”. Sophie spisała w punktach przebieg ich romansu. Z jednej strony podobało mu się jej podejście do sprawy, chłodne i rzeczowe, z drugiej zaś korciło go, by zburzyć jej poukładany biblioteczno–historyczny świat.

Wtorek: godz. 19:00, rowerem na lody do Maynarda.

Piątek: godz. 19:30, kino.

Niedziela: godz. 15:00, wycieczka do Blue Rock, kąpiel (jeśli pogoda dopisze).

Komuś takiemu jak Brand, który wpadał na weekend do Monte Carlo, by zaszaleć w kasynie, którego zapraszano na przyjęcia odbywające się na luksusowych statkach, który jadał w najsłynniejszych restauracjach świata, taki plan mógł wydawać się śmieszny. Tak sobie Sophie wyobraża romans, o którym będzie mówić całe miasteczko?

Ale, o dziwo, Brand się nie roześmiał; ogarnęło go wzruszenie, może nawet żal za tym, co stracił, co go ominęło. Druga kartka papieru zawierała, napisane tym samym wytluszczonym drukiem, „Zasady postępowania”. Przebiegł je wzrokiem. Było tam wszystko, poczynając od zakazu publicznego okazywania czułości, a kończąc na prośbie, aby nie mówił do niej „Kitku”.

– Oj, moja mała. – Pokręcił głową i zmiął kartki. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

A może to on czegoś się nauczy? Może przekona się, co stracił, opuszczając senne miasteczko o nazwie Sugar Maple Grove? Tak, to może być całkiem zabawne.

Pogwizdując cicho, jeszcze z pół godziny pracował przy różach, po czym przeszedł z sekatorem w stronę porośniętego pachnącym groszkiem ogrodzenia. Chociaż matka kochała róże, on spośród wszystkich roślin w

ogrodzie najbardziej lubił groszek o wonnych barwnych kwiatach. Ściął ogromny bukiet, po czym udał się do kuchni, napełnił wodą zlew i umieścił w nim kwiaty.

– Co robisz? – mruknął ojciec, podnosząc wzrok znad gazety.

– Zamierzam dać początek plotce – odparł z uśmiechem jego syn. – A potem jadę po zakupy. Wybierzesz się ze mną?

– Gdzie?

– Do supermarketu. Dlaczego nie masz nic do jedzenia?

– A co? Pisziesz raport dla swojej siostry?

– Ona martwi się o ciebie, tato. Nie traktuj jej jak wroga. Wystraszyła się tego pożaru.

– Myślisz, że ja się nie wystraszyłem? Zresztą nieważne. Nie lubię tu gotować. Ani jeść. – Uniósł dumnie głowę. – Kuchnia kojarzy mi się z twoją matką. Tęsknię za nią.

– Ja też, tato. Wchodzę tu i przed oczami staje mi lemoniada truskawkowa i świeżo upieczone ciasteczka, jeszcze ciepłe.

Spojrzenie ojca złagodniało; przez moment wydawało się, że ojca z synem połączą wspomnienia. Ale starszy pan ponownie skrył się za gazetą.

Brand skierował się do łazienki, by wziąć prysznic, a potem poszedł do szopy, w której stał rower mamy. Do kosza na ramie włożył bukiet, następnie ruszył Main. Pedalował leniwie, wyobrażając sobie, że całe życie spędził w tym uroczym miasteczku. Zdumiało go, jak łatwo można przeistoczyć się z bezlitosnego wojownika w sympatycznego młodzieńca, który jedzie podbić serce dziewczyny.

Czy dzięki pracy udoskonalił swoje talenty aktorskie? Przynajmniej tym razem rola nie wymagała wielkiego poświęcenia. Udawanie faceta Sophie było zabawą, sposobem przyjemnego spędzenia wolnego czasu.

Może chociaż zdoła nauczyć ją spontaniczności? Ale chyba na to potrzebowałby więcej czasu.

Zostawił rower przed starym piętrowym budynkiem z czerwonej cegły, w którym mieściło się Towarzystwo Historyczne, wyjął z kosza bukiet i pokonując po dwa stopnie naraz, stanął przed recepcjonistką, która patrzyła na niego z surową miną.

– Ja do Kitki... Do panny Sophie.

Zasady postępowania? Miał dość zasad w wojsku. Teraz był na urlopie. Nikt, a zwłaszcza śliczne drobne dziewczę, nie będzie mu dyktować, co mu wolno mówić i robić.

Chyba że go poprosi, aby zdjął jej z nosa okulary, wyjął spinki z włosów, odpiął guzik...

Oj, Sheridan, bo trafisz do piekła! Właściwie już w nim był. Weź się w garść, przykazał sobie.

Wiedział, że uwodzenie Sophie będzie jednym z najtrudniejszych zadań w jego życiu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Dżentelmen do ciebie – szepnęła Bitsy Martin, zaglądając do gabinetu Sophie. – Z kwiatami.

Swoim zwyczajem Sophie się zaczerwieniła. Oczywiście natychmiast zorientowała się, o kogo chodzi.

Różnie w myślach określała Branda, niedawno był piratem, ale słowo dżentelmen jakoś do niego nie pasowało.

Nie wiedziała, co ją bardziej zirytowało: to, że Brand ma w poważaniu przygotowany przez nią plan, czy reakcja Bitsy, która nie posiadała się ze zdumienia, że jakiś mężczyzna zjawia się z kwiatami dla Sophie.

Wolałaby się z nim nie widzieć. Jeszcze nie doszła do siebie po tym, co Brand odkrył dziś rano: że zamierzała poślubić Gregga Hamiltona, ponieważ tęskniła za rodzicami, za rodziną.

Dzięki Bogu, że nie odkrył całej prawdy.

– W pierwszej chwili byłam pewna, że pomylił adres – ciągnęła Bitsy.
– Twój gość jest diabelnie przystojny.

Sophie znów poczuła lekką irytację. Wziąwszy głęboki oddech, wstała od biurka i ruszyła do holu. Starła się zachować obojętność, ale okazało się to niewykonalne.

Bukiet leżał na ladzie, a wokół roztaczał się delikatny zapach. Brand krążył niecierpliwie po recepcji, udając, że ogląda wiszące na ścianach zdjęcia przedstawiające dawne Sugar Maple. Korciło Sophie, by przystanąć, nacieszyć oko widokiem jego pleców i bioder, ale nie mogła: Bitsy nie spuszczała z niej wzroku.

Nagle zreflektowała się: przecież właśnie o to chodzi! Miasteczko ma uwierzyć, że ona i Brand mają się ku sobie! Ona, Sophie, może gapić się na Branda, ile wlezie. Zakręciło się jej w głowie, jakby wypłała pół butelki szampana. Oj, ostrożnie z tymi bąbelkami!

– Brand... Jaka miła niespodzianka. Co cię tu sprowadza?

Zdała sobie sprawę, że jak na osobę przeżywającą ognisty romans, mówi zbyt urzędowym tonem. Zerknęła na barwny bukiet.

– Kochanie – dodała po namyśle.

Zabrzmiało to jednak tak, jakby przeczytała swoją kwestię z kiepsko napisanego scenariusza. Brand odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem. Dobry jest, pomyślała. Doskonale wczuwa się w rolę. Może, tak jak powiedział, nie ma dziewczyny, podejrzewała jednak, że gdyby stanął do zawodów w uwodzeniu, pierwszy dobiegłby do mety.

Podszedł do Sophie i pocałował ją w policzek.

– *Ma chérie*. – Jego głos ociekał miodem. Po chwili Brand dodał coś jeszcze po francusku, co zabrzmiało dość pikantnie.

Sophie wzdrygnęła się. Miała wrażenie, jakby rozprowadził miód po jej nagim ciele.

– Przecież nie znasz francuskiego...

– Właśnie, że znam.

– Nie wiedziałam.

Pirat mówiący po francusku? Tamtej nocy przy ognisku przysięgła sobie, że koniec z miłością. Czy zdoła dotrzymać słowa?

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

Chłopak, który mieszkał w sąsiednim domu, nigdy nie stanowił dla niej zagrożenia. Nawet kiedy się w nim podkochiwała, wiedziała, że on nie

odwzajemnia jej uczuć. Teraz jednak wszystko wydawało się jakieś inne! Zwłaszcza on. Niby był taki jak dawniej, a jednocześnie...

– Co powiedziałaś? – zapytała.

– Że te kwiaty kojarzą mi się z tobą.

– Aha. – Czowała pieczenie w miejscu, gdzie ją pocałował.

– Chcesz pójść ze mną na lunch?

– Nie! – zaprotestowała przerażona.

Uniósł brwi. Był jak pirat udający dżentelmena.

– Ależ chcesz – pouczył ją szeptem. – Nie możesz się mną nasycić.

Niestety, to była prawda, przeniknęło jej przez myśl.

– Za wcześnie na przerwę na lunch.

– Zakochanej parze to by nie przeszkadzało. Uśmiechnął się, a ona patrzyła na usta, których

smak poznała wczoraj. Co się z nią dzieje? To chyba jasne. Brand zawsze się jej podobał, zawsze ją pociągał. Ale dość. Najwyższy czas dorosnąć!

– Przykro mi, nie mogę. Jestem zajęta.

Za plecami usłyszała przytłumiony jęk zawodu. Bardzo dobrze. Mają świadka, a o to przecież chodzi. Nie są zakochaną parą, lecz kobietą i mężczyzną, którzy z mieszkańcami miasteczka prowadzą grę.

– Czym, Kitku? – zapytał, nie odrywając wzroku od twarzy Sophie. Położył rękę na blacie i wolno zbliżył do jej dłoni, po czym zaczął lekko przebierać palcami, jakby wykonywał na niej zmysłowy taniec.

Zamiast rozkoszować się dotykiem, Sophie miała ochotę się rozplakać. Boże, w co się wpakowała? Po plecach przebiegł jej dreszcz. Jakaż kobieta nie chciałaby przeżyć prawdziwego romansu z takim facetem?

Bitsy ponownie jęknęła.

– Dostaliśmy dziś paczkę z pamiątkami – odparła Sophie, wyszarpując rękę.

Brand uśmiechnął się znacząco. Jak na jej gust, był zbyt pewny swoich talentów uwodzicielskich. Ale przecież tacy mężczyźni jak on nie uwodzą takich kobiet jak ona. Całe życie się uczyła, uwielbiała słowniki, fascynowała się historią i tylko raz wynurzyła się ze swojej skorupy, by wziąć udział w konkursie oratorskim.

Ludzie nie rozumieli, dlaczego tak długo przeżywa rozstanie z Greggiem. A odpowiedź była prosta: nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi i bała się, że już tak zostanie.

Chociaż nie. Brand zawsze się nią interesował, ale w taki głupi sposób. A to uszczypnął ją w brodę, a to powiedział komplement typu: jesteś śmieszna jak małpka na trójkołowym rowerku. Z kolei ona interesowała się nim na poważnie. Zawsze się jej podobał, i to nie tylko z wyglądu. Do wyglądu oczywiście nie mogła się przyczepić, ale oprócz wyglądu Brand miał coś jeszcze: charakter, pewność siebie, ikrę, odwagę.

W szkole średniej lubił wesołe dziewczyny, zalotne, które wiedziały, jak się malować i co włożyć, by olśnić każdego chłopaka. Twarze tych, które Brand woził na motorze, zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Pewnego razu Sophie usiłowała wytłumaczyć Brandowi, że powinien się bardziej szanować i znaleźć dziewczynę, z którą mógłby chociaż chwilę porozmawiać. Dziewczynę, która byłaby jego warta. Rzecz jasna, chodziło jej o samą siebie. Wysłuchawszy jej rad, Brand wybuchnął śmiechem, po czym ujął w palce jej brodę i zapytał: Dlaczego mam szukać dziewczyny, z którą mógłbym porozmawiać, skoro mam ciebie? Serce jej zabiło wtedy szybciej i zadurzyła się w nim jeszcze bardziej.

Przyszło jej do głowy, że Brand pewnie nadal uważa ją za naiwną. Zamierzała wyprowadzić go z błędu.

Splótnęła dłonie, położyła je przed sobą na blacie. Nie, tak też jest niedobrze, pomyślała. Czas najwyższy pokazać się z nowej strony, udowodnić, że niczego się nie boi. A przynajmniej taką zagrać rolę.

– Kochanie, strasznie się cieszę, że wpadłeś, ale naprawdę muszę wracać do pracy – rzekła półgłosem. – Inaczej nigdy nie skończę.

Kochanie? Cholera, nie mogła wymyślić nic innego?

– Idź już sobie – warknęła pod nosem, kiedy Brand nie ruszył się z miejsca.

Bitsy znów wciągnęła z sykiem powietrze. Obróciwszy się, Sophie popatrzyła na nią wymownie, licząc, że się spieszy i odejdzie. Ale gdzie tam!

Wzdychając ciężko, Sophie uśmiechnęła się.

– Później ci wszystko wynagrodzę – powiedziała do Branda i próbując naśladować dziewczyny, które woził na motorze, zatrzepotała zalotnie rzęsami.

Kąciki ust mu zadrgały. Niestety nie była w stanie poznać, czy rozbawiła go, zaintrygowała czy rozzłościła.

– Może bym ci pomógł – zaproponował po chwili – a potem poszlibyśmy na lunch? Lub w jakieś ciche ustronne miejsce, żebyś mogła mi, jak to ładnie ujęłaś, wszystko wynagrodzić.

Koniec zalotów, uznała Sophie. Wzięła kwiaty, otworzyła bramkę odgradzającą recepcję od biur i skinęła na Branda. Ruszył przed siebie korytarzem, ona za nim.

– Na prawo – oznajmiła krótko.

Wszedł do jej gabinetu. Zamknęła drzwi i oparłszy się o nie plecami, usiłowała zebrać myśli. Jedno nie ulegało wątpliwości: pokój był za mały dla nich dwojga.

Brand odwrócił się tyłem do biurka, twarzą do niej, i skrzyżował ręce na piersi. W jego oczach błyszczały wesołe iskierki. Sophie podejrzewała, że w tym pokoju już zawsze będzie czuła obecność Branda.

– O co ci chodzi? – zapytała. – Co chcesz osiągnąć?

Ukazał w uśmiechu rząd równych białych zębów.

– Po prostu gram swoją rolę.

– Mieliliśmy zacząć jutro. Od przejażdżki rowerem na lody u Maynarda.

Czy naprawdę potrzebowała całego dnia, aby przygotować się psychicznie do jego towarzystwa?

– Wyluzuj, Kitku. Bądź spontaniczna.

– Nie cierpię spontaniczności! – odrzekła, po czym zreflektowała się: nowa Sophie powinna być inna.

– Pamiętam. – Brand pokiwał współczująco głową. – Ale na naukę nigdy nie jest za późno...

– Nie chcę się uczyć! – skłamała. Bo nowa Sophie marzyła o tym, aby spontanicznie rzucić się Brandowi w ramiona, wpić się w jego usta... Ale by się zdziwił!

– Jesteś leniwa.

– Zaraz pewnie dodasz, że i żalosna!

Chęć pocałunku rosła z sekundy na sekundę. Przynajmniej, pomyślała Sophie, coś by udowodniła, zarówno sobie, jak i Brandowi.

Ale istniało ryzyko. Dla niej, nie dla niego.

– Nigdy bym tak o tobie nie powiedział. Może jesteś ciut za sztywna...

Psiakość, co za koszmar! Najbardziej seksowny mężczyzna na świecie uważa ją za sztywną? Nowa Sophie musi czym prędzej temu zaradzić!

– Zabawmy się tą sytuacją, miejmy z niej frajdę.

Co miałyby mu powiedzieć? Że nie lubi mieć frajdy? Teraz niemal czuła się w obowiązku pokazać Brandowi, jaka z niej zabawowa dziewczyna!

Ona sztywna i nudna? Ale gdzie tam! Umie być śmiała, wesółą i zabawną. Biorąc głęboki oddech, jednym susem – by w trakcie nie stchórzyć – pokonała dzielący ich dystans. Brand otworzył szeroko oczy. Usiłował się cofnąć, ale biurko uniemożliwiło mu ucieczkę.

Sophie zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła ustami do jego warg. I co? Czy tak się zachowuje sztywna baba? Na pewno nie. Ona, Sophie Holtzheim, potrafi być spontaniczna i cieszyć się życiem.

Choć właściwie określenie „cieszyć się życiem” nie bardzo pasowało do tego, co robiła. Cieszyć się można podczas oglądania fajerwerków, podczas zabawy z nowym szczeniakiem lub podczas gry w scrabble'a.

Namiętny pocałunek to nie zabawa. To coś intensywnego i groźnego. Ekscytującego jak spływ rwącą rzeką lub skok ze spadochronem, który może się nie otworzyć.

Przy Brandzie zawsze popełniała błędy, a ten pocałunek jest kolejnym. Chciała udowodnić, że jest panią samej siebie; że kontroluje własne emocje.

Przekonała się, że tak nie jest. Oczywiście nie zamierzała się do tego przyznać. Za takimi pocałunkami tęskniła, kiedy przyjęła oświadczenia Gregga i kupiła suknię ślubną. Usta Branda miały smak miodu i marzeń, nadziei i porannej rosy.

Powiedziała Greggowi, że potrzebuje czasu do namysłu; że czegoś jej brakuje. Odkoczyła od Branda, bo nagle uzmysłowiła sobie coś ważnego.

Zgodziła się na małżeństwo z Greggiem, ponieważ go nie kochała. Pragnęła poczucia bezpieczeństwa, jakie daje rodzina, ale po śmierci rodziców nie chciała angażować się emocjonalnie. Strata jest zbyt bolesna. Złamane serce się z trudem goi.

Gregg nie złamałby jej serca. Nie miał nad nią takiej władzy, stanowił bezpieczny wybór.

A Brand? Brand nigdy nie zadowoliliby się półśrodkami. Pragnęłyby zdobyć serce i duszę osoby, którą kocha.

Dlaczego życie jest tak skomplikowane? Czy musiała zakochać się w człowieku, który na pierwszym miejscu stawia pracę?

– I co? – zapytała, siląc się na lekki ton. – Sprawdzian ze spontaniczności zaliczony?

W odpowiedzi Brand zmrużył oczy. Przynajmniej zdołała go zszokować. Nie wiedziała jednak, czy to dobrze czy źle. Nic nie potrafiła wyczytać z jego spojrzenia.

Zawstydziła się. Najchętniej ukryłaby się w jakiejś norze. Dlaczego nie zastosował się do zasad, które wypisała na kartce? Gdyby, zamiast wdzierać się do jej świata, poczekał do jutra, przekonałby się, jaka bywa pogodna i odprężona.

Może nawet by z nim poflirtowała? A tak rzuciła się na niego, kiedy stał, niczego nie podejrzewając! Psiakrew! Czy ona wszystko musi robić nie tak, jak trzeba?

– Muszę brać się do pracy – oznajmiła.

Innymi słowy: chciała skryć się w swojej dziupli, wśród starych ksiąg i zakurzonych dokumentów, które dawały jej wgląd w inne światy. Zatapiała się w nich, kiedy jej własne życie stawało się zbyt nużące lub gdy pojawiała

się zbyt duża przepaść między tym, czego pragnęła, a tym, co mogła mieć. Tylko nie becz, przykazała sobie w duchu.

– Miło, że zajrzałeś, ale właśnie poczta dostarczyła to pudełko. Powinnam sprawdzić zawartość, każdy papierek. To bardzo czasochłonne zajęcie. Trzeba przeczytać listy...

– Mówisz o tym pudełku? – spytał, wskazując głową na biurko. Po chwili uniósł pokrywkę. Świadomie lub nie, dał jej kilka cennych sekund na to, aby wzięła się w garść. – Chętnie wyęcę cię przy listach. Pochodzą z okresu drugiej wojny światowej, tak? Zawsze ciekawił mnie ten temat...

Przyglądał się jej uważnie, czekając, aż Sophie się ogarnie i sprawy znów przybiorą normalny obrót. Normalny obrót? Po tak namiętym pocałunku? Dobre sobie!

Pozbądź się go! – usłyszała głos dawnej Sophie. Ale nowa Sophie nie słuchała.

– W porządku – rzekła spięta. – Nigdy nie odmawiamy, kiedy ktoś oferuje nam pomoc. Jesteś w Sugar Maple już prawie dwa dni. Nic dziwnego, że zaczynasz odczuwać nudę... Niech no pomyślę. Chyba najwygodniej ci będzie w sali konferencyjnej.

Zaprowadziła go na miejsce. Dopiero teraz Brand przekona się, co znaczy nuda!

– Odkładaj na bok wszystko, co dotyczy drugiej wojny – poinstruowała. – Resztą zajmie się Bitsy.

Uśmiechnąwszy się, zamknęła za sobą drzwi.

Obejrzał się przez ramię; został sam w dużej sali. Wiedział, że Sophie specjalnie to zrobiła: pocałunkiem chciała go „ukarać” za to, że nie trzymał się ułożonego przez nią harmonogramu, a jednocześnie pokazać mu, że ona też potrafi być spontaniczna i nieprzewidywalna. W istocie była jednak inna.

Czytał w niej jak w otwartej księdze. Po prostu usilnie starała się zmienić wizerunek, wymazać z jego świadomości obraz grzecznej porządnej dziewczynki, nudnego kujona podpierającego ścianę, nieciekawej bibliotekarki.

Zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, jak bardzo mu się taka podoba. Sophie ze swoją inteligencją, uroczą nieporadnością i rumieńcami wyróżniała się w świecie, w którym wszystko było jak spod sztancy, w którym kobiety wyglądały, mówiły i zachowywały się identycznie.

Czy naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak wielką przyjemnością jest odkrycie oryginału? Uśmiechnął się pod nosem. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze bardzo krytycznie oceniała jego gust w kwestii kobiet. Musiał jednak przyznać, że choć nie zmieniała swojego wizerunku w jego oczach, to jednak zaskoczyła go tym pocałunkiem. Przez kilka sekund jej usta mówiły rzeczy, których ona nigdy by nie powiedziała. Mówiły o... potrzebie bliskości. O pożądaniu.

Oj, głupi miał pomysł z tym romanssem.

Nic dziwnego, że zakochała się w pierwszym facecie, który zwrócił na nią uwagę. Tęskniła nie tylko za rodziną, którą straciła. Był w niej żar, ogień, który tylko w jeden sposób można ugasić. A przecież nie taki był jego, Branda, cel. Chciał pomóc Sophie się odprężyć, zrzucić z siebie ciasne jarzmo konwenansów, nauczyć ją cieszyć się życiem, nie planować wszystkiego od początku do końca.

W całym jej ciele, w zachowaniu, nawet w z pozoru spontanicznym pocałunku, wyczuwało się napięcie. Brandon westchnął. A zatem przejrzy zakurzone pudełko pełne staroci, potem zabierze Sophie na lunch i spróbuje ją rozruszać. Ale bez pocałunków. Nie chciał jej wykorzystywać. Potrafi się powstrzymać, oczywiście dla jej dobra.

W nim też płonął ogień, lecz wygasi go siłą woli. Skupi się na tym, co ważne. Sophie myliła się, twierdząc, że on, Brand, zanudzi się na śmierć w Sugar Maple. Nic na to bowiem nie wskazywało. Dwa dni, które spędził w miasteczku, minęły niepostrzeżenie.

Choć może teraz, kiedy zaczniesz przeglądać stare szpargały, wszystko się zmieni. Ale kto wie? Najwyraźniej nadawca przesyłki, którą dziś dostarczono, uznał, że zawiera dokumenty ważne dla historii miasta.

Brand skupił się; kolejno wyjmował kartki, zdjęcia. Były tu wycinki prasowe na temat szkolnej drużyny koszykówki, która w 1972 roku dotarła do rozgrywek stanowych; było wyblakłe zdjęcie grupy, która w latach osiemdziesiątych wybudowała w Hondurasie sierociniec; był gipsowy odlew ręki, na której z wierzchu widniały słowa: „Szczęśliwego Dnia Matki”, a od spodu: „Terry Wilson. Zginął w Wietnamie w 1969 roku”.

Brand od czterech lat stykał się z różnymi formami zła. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu czuł, że teraz, przy tych starych papierach, będzie miał do czynienia z dobrem, z życiem normalnych szlachetnych ludzi o skromnych ambicjach. Ludzi, którzy chcieli, by świat stał się lepszym miejscem.

W pudełku znajdowały się różne przedmioty, nie tylko wycinki prasowe i zdjęcia. Znalazł kilka przepisów, a także starą podwiązkę, pewnie własność dawnej panny młodej.

I nagle, na samym dnie, zobaczył plik listów związanych postrzępioną czarną wstążką. Czy to jest ten skarb, którego szukał? Ostrożnie rozwiązał aksamitną wstążkę i wyciągnął pierwszy list. Na kopercie, zaadresowanej starannym męskim charakterem pisma, widniało nazwisko panny Sarah Sorlington oraz: Poczta Główna, Sugar Maple Grove. Jako nadawca

figurował szeregowiec Sinclair Horsenell. Czarne pióro cenzora zamazało adres. Data na stemplu pocztowym wskazywała luty 1942.

No, no, pomyślał Brand. Fascynujące!

Ostrożnie rozłożył list. Papier był dość kruchy w miejscach zgnieceń, gdzieś tam atrament niemal całkiem wyblakł. Brand zdołał jednak wyczytać, że Sinclair Horsenell, żołnierz V Korpusu Armii Stanów Zjednoczonych, właśnie dotarł do Irlandii.

Najdroższa Sarah, dziś zaczyna się moja wielka przygoda!

Dalej następował piękny opis przyrody, a także zabawne anegdoty o kolegach z jednostki.

Mimo tylu nowych wrażeń oraz głębokiego poczucia misji bardzo za Tobą tęsknię. Myślę o ostatnim popołudniu, które razem spędziliśmy, o pikniku, który przygotowałaś, o Twoich niebieskich oczach odzwierciedlających kolor nieba, i chcę być z Tobą, a zarazem pragnę chronić świat, tak by każdy mógł cieszyć się z prostych przyjemności, jakich tamtego dnia sami doświadczyliśmy. Kochana moja, gotów jestem poświęcić życie dla wartości, które są tak drogie naszym sercom.

Chciałaś poślubić mnie przed moim wyjazdem, ale ślub na łapu-capu? Nie mógłbym Ci tego zrobić. Zaslugujesz na piękną ceremonię; powinnaś iść nawą w długiej białej sukni, trzymając w ręce bukiet niezapominajek błękitnych jak Twoje oczy. Czekaj na mnie, słodka Sarah.

Twój na zawsze, Sinclair

Listy leżały ułożone w porządku chronologicznym. Sinclair pisał systematycznie, czasem kilka słów, czasem dwie lub trzy bite strony. Im dłużej był z dala od domu, tym bardziej jego początkowe podniecenie malało, a wojskowa codzienność stawała się nużąca. W listach coraz częściej pojawiały się narzekania na bezczynność, na oficerów, na

niesmaczne jedzenie. Brand uświadomił sobie, że niektóre rzeczy się nie zmieniają. Młody mężczyzna wyjeżdża na wojnę, zostawiając dziewczynę, która czeka na jego szczęśliwy powrót.

– Znalazłeś coś?

Sophie stała w drzwiach, obserwując go. Odłożył na bok list, który czytał. Nie miał ochoty mówić jej o pliku korespondencji. Dlaczego? Bo listy Sinclaira wywoływały w nim uczucie niepokoju.

– Trochę starych listów. Może okażą się cenne. Jeszcze nie wiem, nie skończyłem ich czytać. Bitsy lepiej ode mnie będzie wiedziała, co ma historyczną wartość, ale założę się, że te dwie rzeczy jej nie posiadają.

Podał Sophie przepis na zapiekankę i podwiązkę. Roześmiała się. To był przyjemny niski dźwięk, nie żaden chichot. Aż do tej pory Brand nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęskni za prostotą, szczerością w słowach i gestach, brakiem fałszu.

– To co z lunchem? – spytała Sophie.

Spytała cicho i nieśmiało, jak dawna Sophie, a nie jak dziewczyna, która rzuciła mu się na szyję. Brand spojrział na zegarek i zdumiał się, jak szybko czas zleciał.

– Wiesz co? – Szczerść w jej oczach i szczerść w listach Sinclaira sprawiły, że nie chciał burzyć jej świata. Nie chciał siedzieć z nią przy stoliku, marzyć o jej ustach, o kolejnych pocałunkach. – Chyba masz rację, powinniśmy trzymać się harmonogramu. Jutro po kolacji pojedziemy na lody. Tak, żeby całe miasteczko nas zobaczyło.

Przyglądała mu się w milczeniu. Czy była zawiedziona? Zła? Jeśli tak, to dobrze, pomyślał. Niech się nim rozczaruje. Dla własnego dobra.

– Wezmę je z sobą – rzekł, zgarniając listy. – Oddam, kiedy wszystkie przejrzę.

Pragnął ją chronić przed ich zawartością. Dlaczego? Przecież to były zwykłe listy, ciepłe i pełne uczucia, jakie młody człowiek pisał do swojej ukochanej.

Z jakiegoś powodu Brand chciał się upewnić, jak się wszystko skończy: dobrze czy źle. Jeśli źle, może lepiej, aby Sophie ich nie czytała?

Czuł, że jego potrzeba chronienia Sophie może przysporzyć mu kłopotów, zwłaszcza że zadanie, którego się podjął, było bardziej skomplikowane, niż mu się początkowo wydawało. Musiał chronić ją przed samym sobą i własną reakcją na jej namiętny pocałunek.

– Do jutra – dodał. – Nadal jadasz tylko waniliowe?

– Jestem nudna, co?

Wiedział, że nie, że tli się w niej ogień, ale nie zamierzał go podsycać. Pomyślał o świecie, w jakim żył przez cztery lata. Świecie, w którym nie istniało pojęcie nudy, świecie pełnym podniet, niebezpieczeństw, przestępczości.

A potem pomyślał o listach, które ścisnął w dłoni, listach pisanych przez młodego żołnierza, który powoli zaczął tęsknić za nudnym życiem, które porzucił.

– Nuda wcale nie jest czymś złym – zauważył, kierując się ku drzwiom.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie zdołała oprzeć się pokusie: podeszła do okna i patrzyła, jak Brand wsiada na rower i odjeżdża. To była stara wysłużona damka, chyba jego matki.

Wcale nie wyglądał na niej śmiesznie. Jechał dumnie wyprostowany, jakby był rycerzem, a rower jego koniem. Biła od niego pewność siebie. Przypuszczalnie z identyczną swobodą mógłby iść środkiem Main w pirackich spodniach i z gołym torsem.

Zresztą nie miał czego się wstydzić. Widziała go bez koszuli. Tamtego dnia jego wspaniale umięśnione ciało znaczyły zadrapania po kolcach. Brand doskonale zdawał sobie sprawę, jak wygląda i jak na jego widok reagują kobiety. Ten facet jest denerwujący! Nie zostawił jej wyboru; po prostu musi mu pokazać, że chociaż jest skromną dziewczyną z małego miasteczka, nie pozwoli, aby on ze swoim nadętym ego wkroczył do jej świata i nim rządził! Ten pocałunek to dopiero był początek! Z drugiej strony chyba nie czuła się na siłach zmierzyć z tak potężnym żywiołem...

Odruchowo przyłożyła rękę do ust. Wciąż były lekko nabrzmiałe. Nie, lepiej nie zaskakiwać Branda kolejnymi pocałunkami. Lepiej zastosować metodę drobnych kroków.

– Waniliowe?– szepnęła. –Nie dla mnie. Zamówię z marakują. Albo bananowe z kawałkami karmelu.

Brawo, dziewczyno! Żyj pełnią życia!

Wiedziała, że o dreszczu emocji, jaki jej towarzyszył podczas pocałunku, nie zdoła nigdy zapomnieć.

Była zła na Branda, że zlekceważył spisane przez nią zasady. Ale Brand był jak tornado. I tylko głupiec myśli, że tornado można oswoić lub nadać mu kierunek.

Intensywny zapach groszku wypełniał jej pokój. Wdychając słodką woń, trudno było czuć złość, a jeszcze trudniej przygotować obronę na wypadek tornada czy choćby burzy z piorunami.

Kwiaty uzmysłowiły jej, że wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane. Branda nie daje się zaszufadkować. Na przykład dziś rano, kiedy pochylony nad blatem w recepcji bawił się jej palcami, był taki jak dawniej, beztroski, psotny, pełen uroku.

Ale kiedy weszła do sali konferencyjnej, a on odmówił pójścia na lunch, na który sam wcześniej ją zapraszał, wtedy nie był dawnym Brandem. Nie był też tym mężczyzną, któremu rzuciła się na szyję.

Brand, który wyszedł z plikiem listów, był chłodny i nieprzystępny niczym wojownik w żelaznej zbroi lub jak groźna góra, na którą nikt nie próbuje wchodzić, świadom, że wspinaczka najpewniej zakończyłaby się śmiercią. Sophie jeszcze go takim nie widziała. Sprawiał wrażenie bardzo samotnego. Wzdrygnęła się. Zostawić go? Wyciągnąć do niego rękę? Toczyła z sobą walkę.

Nazajutrz wieczorem, szykując się do ich pierwszej randki, ubrała się wyjątkowo starannie. Strój odzwierciedlał jej wewnętrzne rozdarcie: szorty podwinięte wyżej niż normalnie, bluzka z głębokim dekoltem, jakiego zwykle nie nosiła. Nie była pewna, czy pocałunkiem osiągnęła zamierzony cel, w każdym razie nie chciała, aby Brand ciągle traktował ją jak miłą uczynną Kitkę z domu obok, którą trzeba chronić.

Jednocześnie nie chciała, by pomyślał sobie, że seksownym wyglądem próbuje mu zawrócić w głowie. Przypuszczalnie wiele kobiet na całym świecie próbowało i jakoś żadnej nie udało się go usidlić.

Dlatego włosy zaczesła do tyłu w koński ogon, a twarz pozostawiła bez śladu makijażu. Babcia pochwaliła strój, lecz skrytykowała zarówno wybrany przez wnuczkę środek transportu, jak i miejsce, do którego mieli dotrzeć.

– Ależ babciu, Brand uwielbia lody.

– No dobrze, ale czy musicie jechać na rowerach? Będziesz spocona...

– Słyszac pukanie, skierowała się do drzwi. –I jeszcze ten koński ogon! Przypominasz mi kobietę, od której kupowałam na targu ryby... Witaj, Brand – powiedziała Hilde po angielsku, po czym znów przeszła na niemiecki: –Zmarła jako stara panna.

– Może dlatego, że cuchnęła rybami? – rzekła Sophie. Czy naprawdę tak źle wygląda? Kiedy patrzyła w lustro, widziała pogodną, pewną siebie dziewczynę.

Brand wszedł do środka. Ciekawa była, z kim przyjdzie jej spędzić dzisiejszy wieczór: z beztroskim chłopakiem czy Brandem wojownikiem?

Przyszedł wojownik, chłodny i nieprzystępny. Uśmiechnął się, ale uśmiech obejmował jedynie jego wargi, nie dochodził do oczu.

Sophie przestała myśleć o tym, czy ściągnąć gumkę i rozpuścić włosy, bo umrze jako stara panna.

– Coś się stało? – zapytała cicho.

Przytrzymał drzwi.

– Nie, wszystko w porządku – odparł zdziwiony, jakby sądził, że uśmiech ją zmyli.

Przyjrzała mu się uważnie. Wiedziała, że Brand kłamie. Postanowiła nie wywierać nacisku, prędzej czy później odkryje prawdę. I co wtedy? Na to pytanie nie знаła odpowiedzi. Miała nadzieję, że do tego czasu wymyśli coś sensownego.

– Jak się miewa twój tata? – zapytała, schodząc po schodkach.

Za obecny stan psychiczny Branda nie winiła jego ojca, choć miała świadomość, że złe relacje między ojcem a synem nie pozostają bez wpływu na samopoczucie tego drugiego.

– Może ty mi to powiesz? Czy powinien mieszkać sam? Jak sobie daje radę?

Aha, Brand usiłuje odwrócić jej uwagę od siebie.

– Twój ojciec jest jednym z najlepiej zorganizowanych mężczyzn, jakich znam.

– No to masz odpowiedź. Tata miewa się dobrze.

Wsiadł na rower i obejrzał się. Długo wpatrywał się w jej nogi.

– Oczywiście o mało nie spalił domu, ale to całkiem inna historia, prawda? – Ruszyli wolno przed siebie. – Może mi o tym opowiesz?

A co to? Przesłuchanie? Podejrzewała, że świdrując człowieka tym zimnym spojrzeniem, sporo potrafi z niego wyciągnąć.

– Nie zamierzam szpiegować twojego ojca!

– Wcale tego nie żądam. Pytam, co się wtedy stało. Chyba wiesz? – Nie spuszczał z niej wzroku.

Owszem, wiedziała, ale doktor Sheridan prosił ją, by nie mówiła Brandowi o tym, że w trakcie pożaru on i Hilde przebywali w sypialni. Wczoraj, zanim zabrał Hilde na kolację, prosił również o to, by nie wspominała, że on i jej babka mają romans.

– Nie sądzisz, że Brand się domyśli? – zapytała.

– Mam nadzieję, że nie, bo będzie bardziej zainteresowany tobą niż mną – odparł starszy pan.

– Dlaczego chcesz to przed nim ukryć?

– Bo mój związek z Hilde Brand potraktuje jako zdradę wobec matki. Brand jest samotnikiem; nie zrozumie mnie.

Zerknąwszy na jadącego obok mężczyznę, Sophie przemknęło przez myśl, że ojciec trafnie ocenił syna. Brand zmienił się, stał się bardziej zdystansowany.

Kim jest ten facet? Dawniej starałby się wyciągnąć z niej informacje prośbą, groźbą lub śmiechem. Teraz popatrzył na nią spod oka i nie powiedział nic więcej na temat pożaru; jedynie przyśpieszył. Sophie postanowiła zastosować inną taktykę; za wszelką cenę chciała pozbyć się chłodnego Branda i odzyskać tego, którego znała przed laty. Wyprzedziła go, po czym obróciła się i zagrała mu palcami na nosie.

– Ha, ha! Jestem szybsza!

Brand uwielbiał rywalizację, więc potraktował słowa Sophie jak wyzwanie. Uśmiechnęła się w duchu. Wiedziała, że pokusa okaże się zbyt silna. Przyśpieszył. Ona też. On miał trzy przerzutki, ona osiemnaście. Będzie musiał się nieźle napracować, by nie zostać w tyle.

Chyba nie stanowiło to dla niego większego problemu. Kiedy usłyszała, że ją dogania, zajechała mu drogę i pomknęła dalej.

– No wiesz, to nie fair! – zawołał oburzony. Może nie fair, ale Sophie roześmiała się uradowana, po czym uniosła się znad siodełka, pochyliła do przodu i zaczęła jechać na stojąco. Nagle zobaczyła przed sobą pana Machalaya; przechodził przez ulicę, w jednej ręce trzymając torbę z zakupami, w drugiej, na smyczy, swojego starego psa Maxa. Pobrząkując dzwonkiem, Sophie skręciła w prawo i ominąwszy przeszkodę, obejrzała się

przez ramię. Brand skręcił kierownicą w lewo. Pan Machalay i Max stali jak wrośnięci w ziemię. Po chwili mężczyzna puścił smycz i pogroził im pięścią.

– Przepraszamy! – zawołała Sophie, zadowolona, że utrzymała swą pozycję.

Niedługo miała się nią cieszyć, bo po chwili tuż za sobą usłyszała zasapany głos Branda.

– Ostrożnie, bo kogoś zabijesz.

– Przynajmniej nie umrę z nudów.

– Mówiłem ci, że nuda wcale nie jest zła.

– Takie stwierdzenie z ust Brandona Sheridana? A to dobre!

– Nie wymądrzaj się. I pamiętaj, że świata poza mną nie widzisz!

Wybuchnęła wesołym śmiechem.

– A tak nie jest? – Zrównał się z nią.

Była pewna, że na większy wysiłek nie może się zdobyć, ale gdy zobaczyła Branda koło siebie, poczuła niesamowity przyływ adrenaliny. Przyspieszyła. Podobał jej się wiatr we włosach, bicie serca, napięcie w mięśniach. I bliskość Branda. Miała wrażenie, że od dłuższego czasu żyła w letargu i teraz wreszcie się obudziła.

Odległość, jaka ich dzieliła, była nieduża. Brand wyciągnął rękę i pacnął Sophie lekko w ramię, jakby bawili się w berka, po czym pomknął przed siebie bez najmniejszego wysiłku, jakby dotychczasowa jazda była dla niego dopiero rozgrzewką.

Chociaż rower miał gorszy, bardziej rozklekotany, to jednak nogi miał dłuższe i silniejsze. Ale serce wojownika sprawiło, że Sophie była z góry skazana na porażkę.

Uśmiechnęła się pod nosem, gdy ją minął. Może nie zdobędzie pierwszego miejsca, ale wygrała coś innego: odzyskała dawnego Branda. Twarz miał rozpromienioną, oczy wesole, szeroki uśmiech. Może wcale nie zmienił się tak bardzo, jak się tego obawiała.

Zbliżali się do Main; ruch samochodowy gęstniał. Brand odważnie śmigał między autami. W pewnym momencie wykonał ten sam gest co wcześniej Sophie, czyli zagrał jej palcami na nosie.

– Może rower mam dziewczynski, ale babą nie jestem!

– Mówisz tak, jakby dziewczyny były gorsze! Zwolnił, czekając, aż Sophie się z nim zrówna.

– Nie są – oznajmił z powagą.

Do Maynarda dotarli razem. Wyglądali jak para; teraz należało innych przekonać o tym, że coś ich łączy.

Brand zsiadł z roweru i dysząc ciężko, wyciągnął się na trawniku. Sophie oparła rower o drzewo. Zobaczyła, że Brand krztusi się ze śmiechu. To dobrze, pomyślała; zburzyła mur, którym się otaczał.

Ułożyła się obok na ziemi. Nie zastanawiała się, czy ktoś ich widzi. Zresztą chodzi o to, by zachowywać się naturalnie. Tylko ramiona trzymała przyciśnięte do ciała, by ukryć spocone pachy.

– Chciałaś mnie wykończyć? – spytał Brand z udawaną pretensją w głosie.

– To byłby szczyt ironii, nie uważasz? Przez tyle lat robisz różne niebezpieczne rzeczy, a umierasz na rowerze w Sugar Maple Grove.

Skinał głową. Już się nie śmiał.

– Tak, to byłby szczyt ironii.

– Powiedz, co widziałeś? Czym się zajmowałeś? – zapytała, usiłując poznać jego przeszłość.

Brand wstał i podciągnął ją na nogi. Miała nadzieję, że mokre plamy pod pachami już wyschły.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu, jakby o czymś intensywnie myślał.

Wstrzymała oddech. Nie chciała mu przeszkadzać.

– Czym się zajmowałem? – Roześmiał się. – Jadłem lody o wprost niewiarygodnych smakach.

– Na przykład?

– Hm... Filipińskie mango. Albo wołowy ozór. To w Japonii.

– Lody o smaku ozora? – spytała podejrzliwie.

– Również ostryg, czosnku i wieloryba. Serio.

– Wszystkie próbowałaś?

– Pewnie. Kto by im się oparł?

– Ja! – zawołała. Trudno, niech uzna ją za prowincjuszkę.

– Żyje się tylko raz, Kitku. Mieszkańcy Bliskiego Wschodu uwielbiają lody z płatkami róży. Myślę, że tobie też by smakowały.

Niewiele jej zdradził o sobie, nie powiedział nic na temat tego, co robił w wojsku, ale cieszyła się, bo rozmawiając o lodach, wyraźnie się odprężył.

– Zadziw mnie – powiedział. – Zamów jakieś inne niż waniliowe.

Wstąpiła w nią przekora.

– Nic z tego, chyba że mają z płatkami róży. A jeszcze lepiej: o smaku ozora wołowego.

Parsknął śmiechem, bo oboje wiedzieli, że czegoś takiego nigdy nie wzięłyby do ust, nawet gdyby umierała z głodu. Zamówili lody w polanych czekoladą wafłach i, zostawiwszy rowery na trawniku, ruszyli spacerem wzdłuż Main. Mimo późnej pory z nieba lał się żar. Lody topniały szybciej, niż byli w stanie je konsumować.

Jaki przyjemny wieczór, pomyślała Sophie. Słońce powoli zachodziło, a ona wędrowała z Brandem główną ulicą miasteczka, jedząc lody. Miała wrażenie, że to jedna z najcudowniejszych chwil w jej życiu.

W dodatku inne kobiety przyglądały się jej z nieskrywaną zazdrością! A Brand zdawał się nie dostrzegać zamieszania, jakie wywoływał, rzucanych w jego stronę zalotnych spojrzeń i zachęcających uśmiechów.

Czyżby tak doskonale grał? Chyba nie. Pamiętała, że zawsze miał dar skupiania uwagi na osobie, z którą akurat rozmawiał.

Zatrzymał się przed galerią sztuki; niestety już zamkniętą.

– Który byś sobie kupiła? – spytał, wskazując na obrazy za szybą.

Wrzucił do ust resztkę wafła, po czym zlizął z nadgarstka odrobinę lodów. W jego geście było tyle erotyzmu, że Sophie omal nie westchnęła.

Utkwiła spojrzenie w oknie wystawowym.

– Ten. – Kątem oka zobaczyła, że może już bezpiecznie popatrzeć na Branda. – Ten ze starą czerwoną łajbą przycumowaną do brzegu.

– Co ci się w nim podoba?

To, że mogłam skupić na nim uwagę i nie myśleć o tym, co wyczyniasz językiem, odpowiedziała w duchu.

– Na...nastrój – wykrztusiła. – Obietnica długich letnich wieczorów. Słonecznych dni, które spędza się leniwie, bez ustalonego z góry planu.

– Jakoś trudno mi wyobrazić sobie ciebie bez planu. Bez planu jesteś spięta.

– Nie jestem spięta!

– No dobrze, nie – rzekł ugodowym tonem i uśmiechnął się tak, jakby miał zamiar pogłaskać ją po głowie. Po chwili skierował wzrok na obraz. – Nawet nie pamiętam, kiedy tak leniwie spędziłem dzień. – W jego głosie pobrzmiwała dziwna nuta. Tęsknoty? Żalu?

– Nigdy nie umiałeś leżeć do góry brzuchem –przypomniała mu Sophie. – Siedzieć na łodzi i łowić ryby? Umarłbyś z nudów.

– Wiem. Ja byłem z tych, którzy ścigali się po Main na motorze, najlepiej bez tłumika. Z tych, którzy skakali do wody nie z Blue Rock, tylko z Wdowiego Szczytu. Z tych, którzy jadąc z zawrotną prędkością, pokonywali na rowerach różne przeszkody.

– Nadal śmigasz z zawrotną prędkością. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Pokiwał z uśmiechem głową.

– Kiedy rozwaliłem trzeci rower, ojciec odmówił kupna czwartego. W tamtych czasach wszystko było takie proste. – W jego głosie znów pojawiła się nuta tęsknoty.

Sophie zamyśliła się. Czy stać ją na spontaniczność, na nietrzymanie się planu?

– Chcesz spróbować? – zapytała. – Mogłabym pożyczyć łódkę. Twój tata na pewno ma wędkę. Trzeba by wygrzebać z ziemi trochę robaków...

Nie poznawała samej siebie. Babcia oczywiście byłaby przerażona. To tak ma wyglądać romantyczna randka? Na wygrzebywaniu robaków? Trudno, po prostu bardziej niż na zadawaniu szyku zależało jej na tym, aby Brand spróbował czegoś nowego, czego nigdy dotąd nie robił.

– Wędkowania nie ma na naszej liście – zauważył żartem.

– Nie szkodzi, mogę wprowadzić drobne poprawki.

– Serio? – spytał, wytrzeszczając oczy z udawanym niedowierzaniem.

– Ty rządzisz, Kitku. Jeśli chcesz wyciągać z ziemi dżdżownice, a potem siedzieć z wędką, nie mam nic przeciwko temu.

Świetnie. Jest bardziej skory do ustępstw, kiedy myśli, że to jej na czymś zależy.

– Wybierzemy się jutro po pracy – zdecydowała. – Ja skombinuję łódkę, a ty... możesz się zająć robakami?

– O nie, nie pozbawię cię tej przyjemności.

Na widok jej zdumionej miny parsknął śmiechem. Ten śmiech wart był każdej ceny, nawet wyciągnięcia z ziemi dżdżownic.

Nazajutrz wieczorem, stojąc z Brandem z ogrodu różanym, już nie była tego taka pewna.

– Ładnie uporządkowałeś teren – pochwaliła, rozglądając się wkoło. – Wszystko wygląda prawie jak dawniej.

Nie reagując na komplement, Brand podał Sophie słoik z ziemią na dnie.

– Dość gadania, proszę pani. Szukamy robaków. Dużych, sytych, wijących się. O, takich jak ten.

Pomachał jej jednym przed twarzą. Odskoczyła z krzykiem.

– Co ty, Kitku? Nigdy nie brzydziłaś się robali.

– Brzydziłam, tylko robiłam dobrą minę do złej gry.

– Na miłość boską, dlaczego? – Wyjął jej z ręki słoik i wrzucił do niego paskudztwo.

– Gdybym się zdradziła, ciągle bym znajdowała dżdżownice w pudełku na drugie śniadania, w książkach, w rękawiczkach.

– Pamiętam, była taka grupa chłopaków, którzy ci dokuczali. Zwłaszcza po „Uroках życia w małym miasteczku”.

– Na szczęście wiedzieli, że mogę liczyć na pomoc mojego groźnego sąsiada. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradziła. Jesteś moim bohaterem.

Bohater klęczał na ziemi, napełniając słoik.

– Wydaje mi się, że oni cię lubili. Wiesz, jak to jest. W pewnym wieku chłopak daje żabę dziewczynie, którą lubi, po to, żeby ona zaczęła piszczeć i żeby nie domyśliła się, że on ją darzy sympatią. Pewnie przeze mnie nie dostałaś żadnej żaby...

– Nie szkodzi. Cieszyłam się, że mnie chronisz. –Zamyśliła się. – Wtedy mi pomagałeś, a teraz, osiem lat później, dalej mi pomagasz.

Posłał jej uśmiech, po czym wyciągnął z ziemi kolejnego robaka.

– Zawsze możesz na mnie liczyć.

Wypowiedział te słowa tak naturalnie, jakby troskę o nią miał zapisaną w genach. Sophie serce zabiło gwałtownie. Po chwili, kiedy znów się odprężyła, Brand obrócił się i rzucił w nią robakiem, a gdy krzyknęła przerażona, wybuchnął śmiechem. Nie powinna zapominać, że mimo wielu zalet Brandon Sheridan nie był aniołem.

– Próbujesz powiedzieć, że mnie lubisz? – spytała.

– Pewnie! I że chciałem usłyszeć, jak piszczysz. Czy w szkole średniej chłopcy nadal cię dręczyli?

– Nie, wtedy zupełnie stracili mną zainteresowanie. Stałam się przezroczysta. Niewidzialna.

I chociaż chciała się skoncentrować na nim, zaczęła mu opowiadać o sobie, o samotnej okularnicy z aparatem na zębach. Nie, nie skarżyła się; w jej głosie pobrzmiwała nostalgiczna nuta.

Przed wyruszeniem nad Glover's Pond przez chwilę ganiłi się po ogrodzie: Sophie uciekała, a Brand ją gonił, potrząsając słoikiem. Następnie pojechali do Bitsy i wyciągnęli z garażu jej świętej pamięci męża starą drewnianą łódkę, którą załadowali na dach małego sportowego auta. Auto nadawało się do szybkiej jazdy, a nie do wożenia łodzi.

Zlani potem, roześmiani, wykrzykiwali do siebie polecenia, czasem przeklinali pod nosem, ale w końcu się udało. Pomachawszy do Bitsy, ruszyli nad staw. Tam z kolei czekało ich zdejmowanie łodzi, którą parę minut temu z takim mozołem umieścili na dachu.

– Odejdź – wysapał Brand, usiłując samodzielnie zsunąć łódź. – Nie chcę, żeby to ustrojstwo cię zgmiotło.

– Straszny z ciebie szowinista.

– Złaż z drogi!

– Okej, okej.

Po chwili spod łodzi dobiegł przytłumiony głos:

– Czy ten zgrzyt to dźwięk zdrapywania lakieru?

– Chciałeś być takim macho i wszystko robić sam? No to masz rysę na dachu.

– Macho? Nie żartuj... – Chwiejnym krokiem szedł w stronę wody, dźwigając nad głową drewnianą łajbę. – Duża ta rysa?

– Mniej więcej długości tej dżdżownicy, którą we mnie rzuciłeś.

Zsunął buty, opuścił łódź na trawę, po czym, nie podwijając nogawek, wciągnął ją do wody. Szorowała po dnie. Przestała, kiedy zanurzył się po uda.

– Poczekaj! Wystarczy, że jedno z nas będzie mokre.

Obrócił łódź, po czym wyszedł na brzeg, schylił się, zarzucił ją sobie na ramiona, otoczył rękami jej kolana i wyprostował się. Sophie czuła się jak worek kartofli, kiedy niósł ją do łodzi.

Gdy opadło podniecenie wywołane bezpośrednim kontaktem fizycznym, zauważyła, że nogi ma mokre. A przecież jeszcze nie wypłynęli.

– Brand?

– No?

– Chyba dno przecieka.

– Bez przesady. Zbiera się po kropelce. Do tego służy ta puszka.

Omam nie wywrócił łodzi, usiłując się do niej wdrapać. Wreszcie usiadł i umieścił wiosła w dulkach, Sophie tymczasem zaczęła wygarniać puszką wodę. Pracowała bez wytchnienia, lecz poziom wody nie opadał.

– Jesteś pewien co do tych kropelek?

– W końcu służyłem w piechocie morskiej. Jak zaczniemy tonąć, uratuję cię.

I znów potraktuje ją jak worek kartofli? Na wszelki wypadek podwoiła wysiłek.

Po pewnym czasie Brand podał jej wędkę, a sam na zmianę wiosłował i wygarniał wodę.

– Mam coś! – zawołała Sophie, podnosząc się z miejsca.

– Nie, Kitku, siadaj. Nie można stawać w łodzi. Usiądź, proszę!

Kiedy używał tak stanowczego tonu, człowiek posłusznie wykonywał jego polecenia.

– Zgubiłam rybę...

– Chyba wędkarstwo nie jest moim ulubionym zajęciem – rzekł, wiosłując w kółko po stawie.

Dziwny sposób randkowania, pomyślała Sophie. Żadnych kwiatów, wina, romantycznych kolacji, tańców do białego rana. Ale to ona wpadła na ten pomysł.

Z drugiej strony patrzenie na Branda, jak walczy z przeciekającą łodzią, sprawiało jej przyjemność. Wiosłując, był równie seksowny jak wtedy, gdy zlizywał lody z ręki.

– Wiesz co? – powiedział zdyszany.

– Co?

– Nie bez powodu na obrazie łódź jest pusta.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Słońce powoli zachodziło, woda chlupotała wokół ich kostek, panującą dookoła ciszę mącił jedynie plusk wiosel. Kiedy zapadł mrok, popłynęli do brzegu i ponownie załadowali łódź na dach auta.

– Miejsce następnej randki wybieram ja – oznajmi! Brand, zabijając komara. – Jeśli tak sobie wyobrażasz romantyczne schadzki... – Pokręcił głową.

– W porządku, może dziś nie było zbyt romantycznie, ale przynajmniej dobrze się bawiłam, a mając do wyboru wesoły nastrój czy romantyczny, wolę wesoły.

Brand przewrócił oczami.

– Boże, z kim ty byłaś zaręczona, Kitku?

– No dobrze, to powiedz mi, jak ty sobie wyobrażasz romantyczną randkę.

– Biorąc po uwagę, jak niewiele nasza miejscina ma do zaoferowania, to chyba piątkowy wieczór w kinie.

– W tym tygodniu grają „Strach w metrze”. To nie brzmi romantycznie.

– I tu się mylisz, bo wcale nie chodzi o film. A poza tym jeśli chcemy, żeby ludzie zaczęli o nas plotkować, wycieczka nad odludny staw to kiepski pomysł.

Uwielbiała przebywać w jego towarzystwie, żartować z nim, rozmawiać, śmiać się. I bardzo przeszkadzała jej myśl, że ich „randki” są czystą farsą.

Szykując się do kina, wcale nie miała wrażenia, że uczestniczy w farsie. Z bijącym sercem czekała na dzwonek do drzwi, a kiedy je

otworzyła, to na widok Branda zakręciło się jej w głowie. To chyba nie jest gra, pomyślała. W grze powietrze nie byłoby tak naelektryzowane.

– Zaczynamy – powiedział. Zaparkowawszy tuż przed kinem, okrążył samochód i przytrzymał dla Sophie drzwi. – Pamiętaj, Kitku, że mnie kochasz.

Zapłacił za bilety. Sophie wyciągnęła portmonetkę, żeby zapłacić za popcorn. Posłał jej karcące spojrzenie.

– Nawet na udawanej randce nie pozwolę, żebyś fundowała mi popcorn – szepnął jej do ucha.

W kinie było mnóstwo ludzi. Zanim zgasły światła i zaczął się film, wszyscy spoglądali z zaciekawieniem na Sophie i jej nowego przyjaciela.

– Miałaś rację, Brand. Teraz miasteczko zatrzęsie się od plotek.

Sala pociemniała. Film zaczął się od potężnej eksplozji. Sophie wciągnęła z sykiem powietrze. Nienawidziła takich filmów. Ręka Branda zacisnęła się na jej dłoni.

– Nic mi nie jest – szepnęła. – Po prostu wybuch mnie zaskoczył. Nie musisz tego robić – dodała, kiedy Brand nie cofnął ręki. – W ciemności nikt nas nie widzi.

– Za to kiedy wyjdziemy, wszystko będziesz miała wypisane na twarzy.

– Nieprawda!

– Chcesz się założyć?

– Jesteś strasznie pewny siebie – syknęła.

– Wiem – odparł i zrobił to co wcześniej: opuszkami palców przejechał delikatnie po jej kłykciach.

Zacisnęła zęby. Kiedy po minucie czy dwóch uznała, że może zdoła przywyknąć do dotyku Branda i wytrwać w ten sposób do końca seansu,

Brand przesunął wyżej rękę i zaczął rysować malutkie kółeczka po wewnętrznej stronie jej nadgarstka. Kto by przypuszczał, że nadgarstek jest tak unerwionym i wrażliwym miejscem?

Przez cały film Brand bawił się jej dłonią. Podnosił ją do ust, pieścił oddechem, całował palce. Kiedy pojawiły się napisy końcowe, Sophie zorientowała się, że nie ma pojęcia, o czym był film. Z trudem dźwignęła się z fotela. W przejściu potknęła się. Brand objął ją w talii i przytulił.

- Ostrzegałem cię – szepnął.
- O czym? – zapytała, próbując zachować godność.
- Że wszystko będziesz miała wypisane na twarzy.
- Nie mam.
- Masz, maleńka, masz. – Uśmiechnął się łobuzersko.
- Nie mam.
- Dobrze, uparciuchu. Więc o czym był film? –

Zanim zdołała wymyślić jakąś odpowiedź, przeszli przez hol i znaleźli się na dworze. – Hej, głowa do góry, uśmiech na twarz. Gramy.

Gramy? A do tej pory co robili?

Wtem spostrzegła idących w ich kierunku Gregga z Antoinette. I ucieszyła się, że z jej twarzy można wszystko wyczytać. Antoinette była oczywiście niesamowicie piękna, wysoka, o kruczoczarnych włosach i niebieskich oczach.

– Sophie i... Brandon, tak? – upewnił się Gregg. –Chciałbym wam przedstawić moją Toni.

Sophie poczuła się trochę niezręcznie, Toni natomiast nie okazała najmniejszego zmieszania.

– Więc ty jesteś tą kobietą, której należą się moje podziękowania! Od dwóch lat siadałam za Greggiem na wykładach i nie mogłam oderwać od

niego oczu. Kiedy usłyszałam, że jest wolny, postanowiłam nie tracić ani chwili. Rzuciłam się na niego jak głodny na jedzenie, prawda, kochanie?

Gregg spuścił skromnie oczy; był uradowany i zakochany po uszy.

– A wy od jak dawna się spotykacie? – kontynuowała Antoinette.

– Od wieków – odparła Sophie.

– Od niedawna – odparł w tym samym momencie Brand.

Sophie roześmiała się nerwowo. Brand przytulił ją mocniej.

– Znamy się od wieków – wyjaśnił, prostując nieścisłość.

Antoinette przyglądała się im z zainteresowaniem; sprawiała wrażenie osoby, która autentycznie, lubi ludzi.

– Wasz związek... to coś poważnego?

– Nie – odparła Sophie.

– Tak – odparł Brand.

Antoinette pokręciła ze śmiechem głową.

– Uważaj, Sophie. Brandon wygląda na człowieka, który zawsze osiąga cel. – Zamilkła. – Idziecie na lody? Gregg mówi, że to tradycja, że w Sugar Maple wszyscy po kinie idą do Maynarda. To takie urocze...

– Nie, nie idziemy – rzekła Sophie.

– Oczywiście, że idziemy – oznajmił w tym samym momencie Brand.

– No to do zobaczenia. – Antoinette pomachała im przyjaźnie, po czym wzięła pod rękę Gregga i wmieszali się w tłum.

Sophie podeszła do samochodu. Czekwała bez słowa, aż Brand otworzy drzwi.

– Nie chcę iść do Maynarda – oświadczyła, kiedy przekreślił kluczyk w stacyjce.

– Głowa go góry. Poradzisz sobie znakomicie.

Sądził, że Sophie sprzeciwia się z powodu Gregga i Toni. Nie wyprowadzała go z błędu.

– To niesprawiedliwe, że jedna osoba ma tak wiele przymiotów – mruknęła pod nosem. – Antoinette... Nie wystarczy, że jest mądra i piękna? Czy musi również być sympatyczna?

Brand nie odpowiedział, a ona po chwili zapytała:

– Bo zgadzasz się, że jest piękna?

– Jasne. I mądra. I miła.

– Psiakość.

– Kitku, to nie znaczy, że jest w jakikolwiek sposób lepsza od ciebie.

– Ale to dla niej mnie rzucił!

– To ty go rzuciłaś.

– Zamierzałam przyjąć go z powrotem, kiedy już sobie wszystko przemyśle.

– No więc Antoinette jest mądra, piękna, miła i w dodatku powstrzymała cię przed popełnieniem największego błędu w życiu. Coraz bardziej ją lubię.

Była w tym jakaś logika. Nagle świat wydał się Sophie lepszy i barwniejszy. Wprawdzie nie tak wyobrażała sobie swoją przyszłość, ale może wszystko się dobrze ułoży.

– Dzięki, Brand.

– Z podziękowaniem to się wstrzymaj, bo jeszcze z tobą nie skończyłem. Kiedy wyjdziemy z Maynarda, całe miasteczko będzie wiedziało, że już nie wzdychasz do Gregga.

– Co planujesz?

– Zobaczysz.

– Zaczynam się bać.

– Zawsze uważałem, że odrobina strachu to dobra rzecz.

Brand zatrzymał samochód przed lodziarnią. Zbliżając się do drzwi, ujął Sophie za rękę. W progu, patrząc Sophie czule w oczy, podniósł ich splecione dłonie do ust.

W stanie oszołomienia doszła do stolika. Gdy usiedli, Brand z wyraźną niechęcią puścił jej rękę.

– Przychodziłaś tu z Greggiem po kinie?– zapytał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do stolika podeszła kelnerka z dwiema kartami dań. Sophie wzięła jedną, Brand jednak potrząsnął głową.

– Ja wiem, na co mam ochotę – rzekł, nie odrywając od Sophie wzroku.

Kelnerka przeniosła spojrzenie z Branda na Sophie i westchnęła cicho.

– Szczęściara...

– I tak pokazujesz ludziom, że już nie wzdychasz za Greggiem – oznajmił z satysfakcją Brand, gdy kelnerka odeszła od stolika, mówiąc, że za chwilę wróci przyjąć zamówienie.

– Peszysz mnie.

– Bardzo dobrze. Wtedy się czerwienisz. I sprawiasz wrażenie zakochanej.

Sprawiasz wrażenie? Wcale nie czuła, że gra.

– To co, przychodziłaś tu z tym twoim eks?

Skinęła głową.

– I co robiliście?

– Zamawialiśmy gorącą czekoladę. Wypijaliśmy i szliśmy do domu.

– Ale jak się zachowywaliście? Były jakieś romantyczne gesty, spojrzenia?

Jakieś pewnie były, ale po tym, jak Brand podniósł jej rękę do ust, a potem oznajmił, że nie potrzebuje karty, bo wie, na co ma ochotę, nie potrafiła sobie niczego przypomnieć. Cisza trwała bez końca.

– Kitku?

Usiłowała się skupić.

– Na przykład Gregg wysuwał dla mnie krzesło.

– Trzymał cię za rękę?

– Przecież piliśmy gorącą czekoladę!

– Patrzył ci w oczy? – ciągnął niezrażony Brand. – Bawił się twoimi włosami? Trącał cię pod stołem?

Z szelmowskim uśmiechem na twarzy pogładził ją stopą po łydce. Policzki Sophie przybrały odcień szkarłatu.

– Idealnie – szepnął.

W tym momencie do lokalu weszli Gregg z Antoinette. Mężczyzna wyciągnął dla narzeczonej krzesło, po czym obrócił się i zaczął rozmawiać z ludźmi przy sąsiednim stoliku. Brand pokręcił zde gustowany głową.

– Ze mną rób wszystko odwrotnie niż z nim – powiedział do Sophie.

– To znaczy? – Jeśli Brand zacznie bawić się jej włosami, podejrzewała, że zemdleje i osunie się pod stół.

Do stolika wróciła kelnerka.

– Dla ciebie, Sophie, to co zwykle?

– Tak. Gorąca czekolada.

Brand mruknął coś pod nosem.

– Odwrotnie niż z nim – szepnął. Widząc nierozumiejące spojrzenie Sophie, uśmiechnął się do kelnerki. – Proszę skreślić czekoladę. Poprosimy duży puchar lodów z bitą śmietaną i wisienką na wierzchu.

– Podać dwie łyżeczki?

– Tak – odparła Sophie, czując, że traci kontrolę.

– Nie, jedna wystarczy – oznajmił z czarującym uśmiechem Brand.

Kiedy lodowy deser pojawił się na stoliku, Brand podał Sophie wisienkę, a ona miała wrażenie, że w tym momencie przeskoczyły między nimi iskry. Właśnie tego jej brakowało, kiedy spotykała się z Greggiem, tych iskier. Nie przypuszczała jednak, że będą miały taką moc.

Po pewnym czasie opuścili lokal. Sophie nie szła, lecz wręcz unosiła się w powietrzu. Przez cały weekend tak było: nazajutrz rano, kiedy pomagała Brandowi przycinać róże jego matki, oraz wieczorem, kiedy siedzieli na werandzie, rozmawiając do późnej nocy.

Rozmawiali o nieistotnych sprawach: o znajomych sprzed lat, o informacjach w porannej gazecie, o ogrodzie różanym i o jej pracy. Rozmawiali też o rzeczach ważnych: o tym, jak stosunki między Brandem a jego ojcem powoli się poprawiają i jak, dzięki wizycie w Sugar Maple, przekonał się, że ojciec może sam mieszkać.

O ojcu mówił z czułością i szacunkiem. Sophie żałowała jedynie, że nie zorientował się, co łączy doktora z Hilde. Liczyła na to, że starszy pan wkrótce wyzna synowi prawdę.

W niedzielę po południu z nieba lał się żar. Był idealny dzień na wycieczkę nad Blue Rock, Sophie miała jednak coraz większy mętlik w głowie. Czy podczas tych wspólnych wypraw nadal chodziło o pokazanie wszystkim, że dawno zapomniała o Greggu Harrisonie? Czy może chodziło już wyłącznie o Branda, o przyjemność przebywania w jego towarzystwie?

I czy Brand czuł podobnie?

Nie, on jednak wciąż grał swoją rolę. Kiedy znajdowali się wśród ludzi, wykonywał mnóstwo romantycznych gestów, ale kiedy byli sami,

zachowywał się jak starszy brat. Mimo to Sophie nie pamiętała, aby z kimkolwiek innym tak dobrze się jej rozmawiało i spędzało czas.

Dziś, w Blue Rock, postanowiła sprawić, aby Brand długo o niej nie mógł zapomnieć. Pod luźny T-shirt włożyła najbardziej skąpe bikini, w jakim można się pokazać i nie być aresztowanym za nieprzyzwoitość.

Plan, jaki obmyślili, przynosił zamierzone skutki. Całe miasteczko o nich plotkowało. Teraz Sophie obmyśliła drugi plan: chciała udowodnić Brandowi, że już nie jest dzieckiem. Widziała, że coraz bardziej podoba mu się miasteczko, które opuścił przed laty. Czy ona również?

Przyjechał po nią wielkim dżipem wyglądającym jak z czasów drugiej wojny światowej.

– Gdzie twoje sportowe auto?

– Sprzedałem. Wolę dżipa. Ma więcej miejsca na łodzie.

Sophie obeszła nowy pojazd. Lakier był starty, siedzenia popękane, ale dżip miał w sobie niewątpliwy urok.

– Jest wspaniały – oznajmiła. – W stylu Indiany Jonesa.

Brand przyjrzał się jej z uwagą.

– Mówisz serio, prawda?

– Zdecydowanie bardziej do ciebie pasuje niż tamto czerwone cudo.

Żeby dotrzeć do Blue Rock, wielkiej skały nad rzeką Blue, gdzie woda miała kolor szmaragdów, należało przejść kilometr w głąb kanionu. Pół miasteczka szukało tam ochłody przed skwarem. Świadoma zainteresowania, jakie wzbudzają, Sophie rozłożyła na ziemi koc. Podejrzewała, że ludziom nie mieści się w głowie, co taki facet jak Brand widzi w takiej dziewczynie jak ona. Jego uważali za tajnego agenta, ją nazywali bibliotekarką.

Szpieg i szara myszka buszująca wśród książek? Dziwna kombinacja. Sophie jednak zamierzała udowodnić, że nie jest taka, za jaką ją biorą, że nie jest tą grzeczną skromną panią od „Uroków życia w małym miasteczku”.

Biorąc głęboki oddech, ściągnęła T-shirt. Zamiast poczuć się seksownie, poczuła się obnażona. Była obnażona w miejscu publicznym. Czy coś takiego nie przydarzało jej się w snach?

TTLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie była w stanie zmierzyć się ze wzrokiem Branda, który milczał jak otaczające ich kamienie.

– Ścigamy się? – zawołała ochryłym głosem i wskoczyła do wody.

Nagle przeraziła się. Niewiele brakowało, by straciła bikini, które trzymało się na cienkich paseczkach. Szybko opuściła ręce, starając się poprawić majtki. I znów się przeraziła: materiał stał się galaretowaty. Brand wskoczył tuż za nią, lecz po chwili wynurzył się i potrząsnął głową. W jego oczach dostrzegła błysk zachwyty.

Ale los zawsze płatał jej figła, zwłaszcza w sprawach męsko-damskich. Wyobrażała sobie, jak pływają razem, jak ona przed nim ucieka, jak on ją goni i łapie...

Rzeczywistość przedstawiała się jednak odmiennie.

– Mam duży kłopot – powiedziała Sophie. Radość i zachwyty na twarzy Branda zastąpiła troska.

– Co się stało? – Wyciągnął rękę.

– Nie dotykaj mnie.

– Przepraszam. Słyszac „kłopot”, przestraszyłem się, że toniesz.

– Nie. Mój kostium chyba ulega rozkładowi szepnęła. – Dlaczego mnie to spotyka?

– Twój kostium ulega rozkładowi? – powtórzył z zainteresowaniem.

– Dlaczego wszystko idzie nie tak? – szepnęła, ale zabrzmiało to jak krzyk. – Szczególnie kiedy jesteśmy razem?

– To nie moja wina. Nic złego nie zrobiłem.

– Rozkłada się czy nie? – Wyteżył wzrok. – Nie patrz!

– To jak mam poznać, czy się rozkłada?

– Cicho! Zaraz umrę ze wstydu.

– Ze wstydu jeszcze nikt nie umarł.

– Będę pierwsza. – Pociągnęła za materiał. Jeszcze się jakoś trzymał. – Może jednak się nie rozkłada. Może tylko mięknie. Tak jak mokry papier toaletowy.

– Kitku?

– Co?

– Niektóre kostiumy, zwłaszcza takie jak twój... Ha! Przynajmniej go zauważył!

– ...są przeznaczone do opalania, nie pływania.

– Skąd wiesz?

– No, wiem.

Przypomniała sobie, że Brand mieszkał na jachcie u wybrzeży Hiszpanii. Próbowала zawrócić mu w głowie skąpym bikini? Idiotka!

– Cały czas żyłeś otoczony pięknymi kobietami? – Miała ochotę wybuchnąć płaczem. Nie pasowała do niego; zamieszkiwali dwa różne światy. Od paru dni próbowała o tym zapomnieć, uwierzyć w...

– Żadna nie była tak piękna jak ty, Sophie – oznajmił z głębokim przekonaniem w głosie.

Sophie zmrużyła oczy. Brand nie śmieje się, nie żartuje. Mówi serio. Odwróciła oczy. Bała się, że za moment naprawdę się rozplacze. Patrząc w dół, zobaczyła swoje nowe bikini. W suchym czuła się niemal całkiem obnażona, a w mokrym... mokre nic nie zasłaniało.

Łzy trysnęły jej z oczu. Nic nie mówiąc, Brand jedną ręką objął ją w pasie, a drugą zaczął płynąć. Powoli zbliżali się do brzegu. Kiedy wyczuł grunt pod nogami, zatrzymał się i przytulił Sophie do siebie.

Kiedy indziej rozkoszowałyby się dotykiem jego mokrego torsu, ale dziś ciało Branda służyło za tarczę, za osłonę. Wziął ją na ręce i przeszedł tam, gdzie leżał koc. Jednym płynnym ruchem postawił Sophie na ziemi, po czym szybko schylił się, podniósł koc i owinął go wokół jej ramion.

– Ciągle mnie ratujesz... – Pociągnęła nosem.

Uśmiechnął się.

– Uwielbiam to robić – odrzekł i nagle, jakby powiedział o jedno słowo za dużo, jakby to on się obnażył, uszczypnął ją w brodę, obrócił się i odszedł.

Wskoczył do wody i po czterech pociągnięciach ramion znalazł się na drugim brzegu, gdzie zaczął wdrapywać się na skały. W pierwszej chwili Sophie ogarnęły wyrzuty sumienia. Znów coś nawywijała. Wystraszyła go swoim rozpadającym się kostiumem i łzami. A on wcale nie mówił serio, że jest piękniejsza od kobiet, z którymi stykał się w swoim innym życiu. No bo jakże tak?

Nagle jednak uświadomiła sobie, że Brand wcale nie próbował uciec od niej, od jej bikini i łez. Po prostu robił to, co zawsze. Pomagał jej. I na te skały wspinał się dla niej.

Minął skałę zwaną Blue Rock, nawet przy niej nie zwalniając. Nie spojrzał na nastoletnich chłopców, którzy ustawiali się w kolejce do skoku. Wspinał się coraz wyżej, dosyć wolno, ale z wyraźną determinacją, jakby wiedział, co chce osiągnąć. Ostrożnie wsuwał nogi w otwory, szukał uchwytu dla rąk, podciągał się. Był ze dwadzieścia metrów nad poziomem wody.

Sophie czuła strach i podniecenie.

Wreszcie dotarł na miejsce, na półkę skalną zwaną Wdowim Szczytem, z której rzadko kto korzystał, i spojrzał w dół, nie na taflę wody,

lecz na nią, Sophie. Pomachał do niej. Wiedziała, o co chodzi. O pradawny rytuał, kiedy mężczyzna pokazuje kobiecie, że jest najlepszy, najsilniejszy, najodważniejszy.

Głosem, który odbił się echem o ściany kanionu, krzyknął: – Honor!

Wszystkim przeszły po plecach dreszcze.

Skoczył na nogi, ręce trzymał wzdłuż ciała. Jego akt lekkomyślnej, a zarazem niesłychanej odwagi odniósł zamierzony skutek: Sophie – tak jak wiele kobiet przed nią, które obserwowały popisy swoich mężczyzn – zamarła z przerażenia, a jednocześnie nie mogła wyjść z podziwu.

I nagle ją tknęło, że występując w skąnym bikini, ona również wykazała się odwagą. Może później, kiedy kostium wyschnie, ona znów pokaże, jaka jest odważna i położy się na kocu. Ale na razie, korzystając z okazji, że wszystkie oczy skierowane są na Branda, włożyła T-shirt.

Brand wynurzył się na powierzchnię, strząsnął krople wody z włosów i przebierając wolno ramionami, jakby nieświadomy spojrzeń, które mu towarzyszyły, podpłynął do brzegu. Po chwili, mokry, położył się obok na kocu.

– Dlaczego przed skokiem krzyknąłeś „Honor”? – zapytała.

– To taki okrzyk bojowy. Coś, za co warto walczyć i umierać.

– To coś więcej – domyśliła się. – To coś, w co wierzysz. Co tkwi w tobie najgłębiej, prawda?

– Ja jestem prosty chłopak, Kitku. Nie znam się na takich sprawach. – Uśmiechając się, powiódł po niej leniwie wzrokiem. – Wiesz – kontynuował – oboje mamy zadrapania od kolców róż. Wygląda to tak, jakbyśmy robili mnóstwo ekscytujących rzeczy.

Przejechał palcem wzdłuż zadrapania na jej ramieniu. Wciągnęła z sykiem powietrze.

– Na przykład usiłovali oswoić parę dzikich kociaków? – zażartowała nieco zmienionym głosem.

– Ciągłe zapominam, że w Sugar Maple macie inne standardy; co innego uchodzi tu za ekscytujące niż na przykład w Nowym Jorku.

– Dla ciebie niebezpieczny skok to w pewnym sensie ucieczka, prawda? – spytała, poważniejąc.

Udał, że nie rozumie, ale ona wiedziała, o czym mówi. Poczuł coś, gdy się rozplakała, więc wdrapał się na skałę i skoczył, by zagłuszyć własne emocje.

– Angażujesz ciało, żeby uniknąć pułapek związanych z psychiką i sercem.

– Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że faceci nie lubią, jak kobiety płaczą, to owszem, masz rację. Ale ten skok nie był niebezpieczny, nawet jak na tutejsze standardy.

– Standardy zaraz ulegną zmianie – zauważyła, obserwując Martina, jednego z młodzieńców, który głośno dopingowany przez kolegów wspinał się na Wdowi Szczyt.

Brand również skierował na niego wzrok. Na skraju występu skalnego chłopak zawahał się, po czym skoczył. Przez całą drogę w dół wymachiwał rękami i nogami. Wpadł do wody z wielkim pluskiem; po chwili wynurzył się, pokazując palcami znak zwycięstwa.

Brand zamknął oczy.

Sophie leżała na kocu, przez zmrużone powieki wpatrując się w kropelki wody na złocistym torsie wyciągniętego obok mężczyzny. Sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

Tydzień. Brand jest tu dopiero od tygodnia, a jej życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. W dodatku zdołała częściowo rozszyfrować

Branda, poznać jego tajemnice. A nie był człowiekiem, który lubi się odsłaniać.

– Panie Sheridan?

– Mmm? – Uniósł głowę i zakrył oczy przed rażącym blaskiem słońca.

– Jestem Martin Gilmore.

Brand wstał i uścisnął dłoń młodzieńca.

– To było niesamowite przeżycie, ten skok... Wie pan, chcę wstąpić do piechoty morskiej.

W oczach Branda pojawił się wyraz napięcia.

– Ile masz lat, synu?

– Siedemnaście.

– Powinieneś jak najdłużej cieszyć się tym, co masz tutaj. Sophie, idziemy?

Coś w twarzy Branda sprawiło, że nie zaprotestowała. Złożyła koc i w milczeniu ruszyła do dżipa.

– Co się stało? – spytała, kiedy wkładali rzeczy do bagażnika.

– Nic – odparł krótko, zatrzasnął kłapę.

– Nie kłam. – Zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

– Coś się wydarzyło, kiedy Martin wspomniał o piechocie morskiej.

– Widziałem wielu martwych żołnierzy w jego wieku.

– Opowiedz mi o nich – poprosiła cicho.

– Nie żartuj – warknął.

– Opowiedz mi o tym, co robiłeś i widziałeś.

– Sophie, ty się boisz zwykłej dżdżownicy.

Znów wznosił wokół siebie mur. A może cały czas się nim otaczał, może jej się tylko wydawało, że po tygodniu w Sugar Maple Brand opuścił gardę.

Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Trzeba zburzyć mur. Musiała to zrobić, miała niemal wrażenie, że od tego zależy jej życie.

Tamtego dnia, kiedy rzuciła się na Branda w biurze, chodziło o coś innego. Chciała, sobie i jemu udowodnić, że potrafi być spontaniczna. Tym razem powodowała nią chęć pokazania mu, że jest dla niej ważny. Chęć poznania go, odkrycia, jaki jest naprawdę.

Wspiąwszy się na palce, przytknęła wargi do jego ust. Miały smak czystej wody z lekką nutką soku poziomkowego, który wcześniej wypił. Wiele z nich potrafiła wyczytać: o sile Branda, odwadze, dobroci.

I samotności.

Czy faktycznie można tyle dowiedzieć się o człowieku, dotykając jego ust? Nie zawsze. Tym razem się jednak udało. Nagle Brand odsunął się, jakby coś podejrzewał.

– Co to miało znaczyć?

– Pani Fleckenspeck na nas patrzyła.

Obejrzał się przez ramię i powiódł wzrokiem po pustym parkingu.

– Nie widzę jej. Poza tym co z zasadą numer sześćset, że w miejscach publicznych nie wolno okazywać czułości?

– Wcale nie ma sześciuset zasad! – oburzyła się.

– Nie rozumiem, po co je w ogóle spisywałaś, skoro je łamiesz – mruknął.

W niczym nie przypominał mężczyzny, który przyniósł jej do pracy bukiet groszku, który ścigał się z nią na rowerze po sennych ulicach, który ganiał ją po ogrodzie i straszył robakami i który skakał z wysokiej skały, próbując jej zaimponować.

– No dobra. – Unikał jej wzroku. – Randka nad wodą zaliczona.

Wracajmy.

Skinęła głową. Nie dała po sobie poznać, jaka jest zawiedziona. Przez całą drogę do domu Brand nie zdejmował nogi z gazu, jakby chciał uciec od tego, co się wydarzyło na parkingu.

Sophie czuła, że gdyby się jej zwierzył, byłoby mu łatwiej. Lżej. Ciekawa była, czy zaufał komuś na tyle, by pokazać mu swoje prawdziwe oblicze.

Nagle przeraziła się. Uzmysłowała sobie, że chyba kocha Branda Sheridana równie mocno dziś jak wtedy, gdy miała piętnaście lat. I że jest to miłość całkiem niepodobna do tej, jaką darzyła Gregga. Jej świat może się zawalić po raz kolejny. Czy ma dość siły, aby to przetrwać?

Kładąc się wieczorem spać, Brand wciąż czuł na ustach smak czystej chłodnej wody, w której pływał, a także obietnicy, jaką niósł z sobą pocałunek Sophie.

Może sam powinien zapisać kilka zasad? Na przykład: żadnych pocałunków. Ale wtedy Sophie domyśli się prawdy. Jej pocałunki coś w nim obudziły.

Palące pragnienie, ogromną tęsknotę za czymś miękkim, ciepłym, bezpiecznym, na czym mógłby oprzeć głowę. Sama obecność Sophie sprawiała, że chciało mu się żyć.

Spędził w sennym Sugar Maple tydzień. I wprost nie mógł uwierzyć, że ani razu, nawet przez minutę, nie poczuł się znudzony. Napięcie, które towarzyszyło mu od lat, ustępowało. Gdy poczuł się już niemal wolny, nagle pojawił się ten małolat, młodsza wersja jego samego. Brand podejrzewał, że chłopak uwielbiał ryzyko, był odważny, znudzony codzienną rutyną i chciał zmienić swój świat.

Cholera, dlaczego młodzi są tacy niecierpliwi, dlaczego gotowi są porzucić wszystko, co ich otacza, i ruszyć w nieznane? Pomyśl o czymś

innym, nakazał sobie i tak też zrobił. Zaczął rozmyślać nad tym, że ojca nie ma w domu.

Grają dziś z babcią w bingo w St. James Hall, poinformowała go Sophie, kiedy wróciwszy z Blue Rock, zobaczył, że przed domem nie ma samochodu ojca.

– Widzę, że ojciec prowadzi bardzo ożywione życie – stwierdził z zadowoleniem Brand.

– To prawda – przyznała Sophie, odwracając wzrok.

Widząc jej reakcję, przyszło mu do głowy, że chyba Sophie wie coś, co usiłuje zachować w tajemnicy. Już raz wcześniej odniósł takie wrażenie, kiedy spytał ją o pożar w domu ojca. Zobaczył na jej twarzy... niepokój? Panikę?

W porządku. On też wie różne rzeczy, o których nie chce jej mówić.

Powiedz mi, co robiłeś i widziałeś – poprosiła, a on poczuł silną pokusę, aby się jej zwierzyć.

Przestał patrzeć na nią jak na dziecko, które musi chronić. Zobaczył kobietę, która pomogłaby mu zrzucić balast, z którym żył od lat. Ale trwało to tylko chwilę. Bo jaki mężczyzna chce dzielić się z kobietą swoimi problemami? I dlaczego wcześniej nie zdawał sobie sprawy z ich przeraźliwego ciężaru?

Sinclair podjął słuszną decyzję, uznał Brand, sięgając po listy, które sześćdziesiąt pięć lat temu młody żołnierz słał do swojej ukochanej. Szeregowy Horsenell przebywał w Europie już od kilku miesięcy. Pisał coraz rzadziej; jego listy zawierały coraz mniej informacji. Początkowe podniecenie i ciekawość ustąpiły miejsca zniechęceniu i cynizmowi. W styczniu 1943 roku trafił na południe Francji.

Najdroższa Sarah!

Proszę, nie zadreńczaj mnie, abym pisał Ci o tym, co robię. Na ogół są to rzeczy mało przyjemne. Nie chcesz o nich wiedzieć, a ja nie chcę Cię o nich informować.

Całuję mocno, Sinclair

Nie ulegało wątpliwości, że z pełnego entuzjazmu, naiwnego chłopca Sinclair przeistoczył się w żołnierza, który wiele spraw woli zachować dla siebie. Brand odłożył listy na bok; dziś nie miał ochoty czytać więcej.

Mimo to nie potrafił uwolnić się od wizji Sinclaira i Sarah. Rozmyślał o nich jeszcze długo po tym, jak zgasił światło. Sinclair zmieniał się. Kilka miesięcy wcześniej nie użyłby zwrotu „nie zadreńczaj mnie”. W ostatnich listach stawał się coraz bardziej twardy i nieustępliwy. Nie wróżyło to dobrze jego związkowi z Sarah. Dziewczyna siedziała w domu, z utęsknieniem czekając na chłopca, który znikł na zawsze. Brand zamyślił się. Kiedy ścigał się z Sophie na rowerze, kiedy czuł wiatr we włosach i radość ze zwycięstwa, był dawnym sobą, chłopakiem, który mieszkał kiedyś w Sugar Maple Grove. Z każdym dniem, z każdą chwilą, jaką spędzał z Sophie, dzisiejszy Brand coraz bardziej przeistaczał się w tamtego.

Wiedział jednak, że przemiana nigdy nie będzie pełna. I że Sophie przeżyje rozczarowanie.

No cóż, kiedy następnym razem spyta go, co widział i robił po wyjeździe z Sugar Maple, odpowie słowami Sinclaira: Nie zadreńczaj mnie.

Przez otwarte okno sypialni usłyszał, jak pod dom podjeżdża samochód, a potem jak zatraskują się drzwi. Głosy, ojca i Hilde, przeniosły się do ogrodu. Brand wstał z łóżka i podszedł do okna.

Ojciec i Hilde stali w ciemności, przytuleni, trzymając się za ręce. Po chwili pocałowali się. W usta, nie w policzek. Brand odskoczył. Wprost nie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem, i w złość, jaką poczuł.

Ojciec uważał, że syn znieważył pamięć matki, kiedy nie przyjechał na jej pogrzeb, a sam zadaje się z inną kobietą? Mimo że od śmierci żony minęło tak niewiele czasu?

Przypomniał sobie minę Sophie, kiedy spytał ją, jak sobie ojciec radzi. Cholera, ona wie!

W porządku, zapamięta to sobie, kiedy następnym razem będzie chciał jej powierzyć jakąś swoją tajemnicę.

Poczuł się zdradzony i zawiedziony. Dlaczego? Z natury był cyniczny. Wiedział, że życie nie składa się z samych przyjemności, a jednak... Dzięki Bogu, że oparł się pokusie otwarcia się przed Sophie.

Ogarnęła go przemożna ochota ucieczki. Byle jak najdalej stąd. Nie był jednak człowiekiem, który chowa głowę w piasek. Zawsze stawiał czoło wyzwaniom, podnosił z ziemi rzuconą rękawicę. Był niczym gladiator, który śmiało wkracza na arenę. Na każdą arenę prócz jednej. Bał się emocji, okazywania uczuć.

Sophie miała rację. W ryzyku odnajdywał bezpieczeństwo. Adrenalina i wysiłek fizyczny sprawiały, że nie myślał o tym, co się dzieje w jego sercu.

Nagle uzmysłowił sobie, że stoi nad przepaścią. Że powoli zakochuje się w Sophie. Skoku z wysokości się nie bał, a zakochania owszem. Skok wykonywał świadomie, a zakochiwał się bezwiednie, wbrew własnej woli. Czuł się oszołomiony i bezsilny. W świecie, który zamieszkiwał, bezsilność jest słabością.

Podjął decyzję: cofnie się znad przepaści, przejmie kontrolę. Dokończy pielęgnację róż; w ten sposób uhonoruje pamięć matki. Następnie spyta ojca o jego związek z Hilde. Zażąda wyjaśnień, a potem wyjedzie. Może zamieszkać w jednostce wojskowej w Kalifornii, dopóki nie otrzyma nowego zlecenia.

Wyjął z plecaka telefon komórkowy, którego ani razu nie użył od przyjazdu do Sugar Maple, i wysłał wiadomość do siostry: „Ojciec ma się dobrze”. Zawahał się. Czy powinien dopisać: Ma nową przyjaciółkę? Nie. To sprawa ojca.

Kolejną wiadomość wysłał do swojego szefa. Poinformował go, że nie może zostać w Sugar Maple przez miesiąc, tak jak ustalili. Zrobiło się tu zbyt niebezpiecznie. Za bardzo spodobało mu się to miasteczko. Oraz Sophie.

Nie wierzył, aby mógł tu kiedykolwiek wrócić. Podobnie myślał Sinclair Horsenell. Obaj mieli w sobie coś, jakieś brzemie, z którym nie potrafiliby żyć w małym miasteczku i u boku dziewczyny z takiego środowiska.

Byli skażeni, cyniczni, trwale uszkodzeni. Nikt nie może ich naprawić ani wyleczyć.

Dobrze, a zobowiązania? A obietnica, jaką dał Sophie? Kartki, na których spisała plan randek i zasady postępowania, leżały na podłodze przy łóżku. Sięgnął po nie. Została do zrobienia jedna ważna rzecz. Należy pojawić się na przyjęciu zaręczynowym Gregga i Antoinette. Przez cztery lata, jako tajny agent, żył w świecie kłamstwa i obłudy, lecz obietnicy danej Sophie nie mógł złamać.

Czy to, że nie powiedziała mu o romansie ojca, daje mu prawo pozostawienia jej na lodzie? Nie. Oczywiście Brian Lancaster zachowałby się jak ostatni drań. Natomiast Brand Sheridan czuł, że musi postąpić uczciwie i szlachetnie.

Niestety wiedział, że sprawi Sophie ból. Owszem, pójdzie z nią na przyjęcie do Hamiltonów, ale do tego czasu musi unikać jej jak ognia.

Ma do wyboru: widywać się z nią jakby nigdy nic i zadać jej większy ból później, lub wycofać się i zadać mniejszy ból teraz. Wolał się wycofać. Dla jej dobra.

TTLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po raz pierwszy w życiu miała na sobie taką suknię. Nawet suknia ślubna, w której wystąpiła o północy w ogrodzie, nie mogła równać się z dzisiejszą. Również po raz pierwszy w życiu dokonała zakupu nie w zwykłym sklepie, tylko w butik, w którym sprzedawano stroje znanych projektantów.

Suknia z zielonego jedwabiu idealnie podkreślała walory kobiecego ciała. Na biuście i biodrach była opięta, na udach zmysłowo rozkloszowana. Sophie obróciła się przed lustrem. Kolor i rodzaj materiału uwydatniały nieskazitelną gładkość jej cery oraz głębię spojrzenia. No dobrze, ta głębia to raczej zasługa precyzyjnych instrukcji, jakie otrzymała w dziale kosmetycznym miejscowego sklepu.

Ponownie zerknęła do lustra. Kupując suknię, liczyła, że skończą się jej problemy, i wcale nie chodziło jej o przyjęcie i swoją tam obecność. Problemy dotyczyły jej relacji z Brandem. Coś się między nimi psuło.

Kiedy jednak otworzyła drzwi i zobaczyła Branda, zrozumiała, że nic się nie zmieni. Stał na werandzie w smokingu i śnieżnobiałej koszuli, z muchą pod szyją, i patrzył na nią, Sophie, tak jak od tygodnia, jak od czasu wycieczki do Blue Rock.

Przez cały ostatni tydzień trzymał ją na dystans. Kiedy nazajutrz pojawiła się w ogrodzie, gotowa do pracy, oznajmił, że chciałby zająć się różami sam. W hołdzie dla mamy. Co miała powiedzieć? Odeszła.

Wkrótce przekonała się, że nie chodzi wyłącznie o róże. Nie chciał wybrać się z nią na ryby ani do kina. Ani pojechać rowerem do Maynarda na lody. Słowem: nie życzył sobie jej towarzystwa.

Gdyby miała odrobinę dumy, powinna odwołać dzisiejsze wyjście, ale – psia krew! – od początku zamysł był jeden: pokazać miasteczku, że ona nie cierpi z powodu rozstania z Greggiem. Oczywiście miała cichą nadzieję, że widząc ją w tej kreacji, Brand zmieni swoje nastawienie. Tak się jednak nie stało.

Przy drzwiach babcia powiedziała po niemiecku:

– Sprawdź, kochanie, czy on umie tańczyć. Nie ma to jak dobry tancerz.

Wtedy Brand idealną niemczyzną odparł:

– Obawiam się, że nie umiem.

Hilde rozpromieniła się, zachwycona, że Brand zna niemiecki. W ogóle jej nie przeszkadzało, że od przyjazdu do Sugar Maple podsłuchiwał ich rozmowy. Sophie z kolei zaczęła sobie nerwowo przypominać, co babka mówiła i co ona jej odpowiadała. Zresztą treść rozmów nie miała większego znaczenia, ale to, że Brand świadomie wprowadził ją w błąd. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Spoglądając na kamienny wyraz twarzy Branda, pomyślała sobie, że chyba go jednak nie zna.

Ruszyli do samochodu. Brand otworzył drzwi – na dzisiejszy wieczór pożyczył auto ojca – potem zamknął je cicho i zajął miejsce za kierownicą. Zachowywał się chłodno i uprzejmie, niczym człowiek wynajęty do towarzystwa, jak znajomy, który wyświadcza ci przysługę. To ona usiłowała zatrzeć granice, zburzyć mury. Zbyt wiele oczekiwań wiązała z pocałunkami, ze skokiem do wody, z chwilami spędzonymi razem.

– Musimy porozmawiać o naszym zerwaniu – rzekł, włączając silnik.

Raczej powinni omówić fakt, że nie przyznał się do znajomości niemieckiego, pomyślała. W każdym razie jego słowa ją zaskoczyły. Mimo

że przez cały tydzień Brand jej unikał, była nieprzygotowana do takiego rozwoju wydarzeń.

– Słucham?

– O zerwaniu – powtórzył. – Jeśli po prostu wyjadę, będzie wyglądało, jakbyś znów została porzucona. A nie po to odgrywamy tę farsę.

– Wyjeżdżasz?

– Tak.

– Mówiłeś, że zostaniesz miesiąc.

– Moja praca wymaga dyspozycyjności i gotowości.

– I nie zamierzasz tu wrócić?

Popatrzył na nią, lecz nic nie powiedział. Nie musiał: wszystko zrozumiała. Ogarnął ją głęboki smutek. Dlaczego? Przecież grali. Udawali. Choć nie do końca.

Bo podczas tej gry uświadomiła sobie, że kocha Branda równie mocno, jak przed laty. I będzie równie mocno załamana jak wtedy, gdy zaciągnął się do wojska i wyjechał z Sugar Maple.

Kusiło ją, by wrzasnąć: Jak możesz nie chcieć wrócić? Nie wrzasnęła jednak. Pomyślała, że powinna wykorzystać czas, jaki jej został, aby przekonać Branda, by jednak wrócił. Do Sugar Maple. I do niej.

– Nie musimy zrywać publicznie – powiedziała, spoglądając w przestrzeń. – Możemy udawać, że rozmawiamy przez telefon, że mejlujemy do siebie, a potem pozwolić, żeby romans sam się wypalił.

– W porządku. Tylko postaraj się, żeby wszyscy wiedzieli, że to ty masz dość tej sytuacji. Wy tłumacz ludziom, że moja praca okazała się zbyt wymagająca. Bo taka jest, zwłaszcza kiedy kobieta pragnie tego co ty.

– A czego ja pragnę?

– Masz to wypisane na twarzy – odparł zniecierpliwionym tonem. – Domu, o, takiego... – Wskazał na posesję, którą mijali, z huśtawką w ogrodzie i pontonem napelnionym wodą. – Piaskownicy, plastikowych kubeków i rowerów na trzech kółkach. Męża, który wraca wieczorem z pracy. Niedzielnym pikników. Po prostu normalnego życia, jakie wiodą mieszkańcy Sugar Maple.

– Chcesz powiedzieć, że ty się nigdy nie ustatkujesz? Że nigdy nie będziesz chciał mieć żony, domu, dzieci?

– Moja praca nie sprzyja związkom – odrzekł posępnym tonem. – Wielokrotnie widywałem, jak się rozpadają. Nie mógłbym prosić kobiety, żeby dzieliła ze mną życie, które jest tak niebezpieczne i nieprzewidywalne.

– Czyli wolisz spędzić je samotnie.

– Nie jestem samotny – warknął. Przyjrzała mu się uważnie i pomyślała: jesteś. Robiła, co mogła, aby wywabić go z jego samotni.

Przez moment wydawało jej się, że odniesie sukces. Teraz jednak straciła pewność. Zobaczyła człowieka o nieugiętej woli, który podjął decyzję i wie, że woli żyć z dala od Sugar Maple Grove. I z dala od niej, Sophie.

Mimo bólu, jaki poczuła, uświadomiła sobie jedną niezwykle cenną rzecz. Mianowicie, że jej związek z Greggiem był tanią imitacją prawdziwego związku. Po prostu wmówiła sobie, że Gregg jest mężczyzną jej życia. Czy to nie ironia losu? Że udawany związek wydawał się jej o wiele bardziej prawdziwy od tego prawdziwego?

Krętą wiejską drogą dojechali do ogromnej bramy, za którą znajdowało się królestwo Hamiltonów. Nad bramą kołysała się na wietrze tablica z nazwą posiadłości przystrojona fioletowymi balonami. Brand przeczytał nazwę i skrzywił się ironicznie.

– Tu miał być mój dom – powiedziała Sophie takim tonem, jakby Brand krytykował ją i jej marzenia.

Pamiętała, co czuła, kiedy skręcała z szosy w tę wąską krętą drogę, która biegła przez las, następnie przecinała rzeczkę i kończyła się na niedużym wzgórzu: że tu, w tym pomalowanym na biało domu, wreszcie znajdzie spokój, że tu zbuduje od nowa swoje życie, zostanie przyjęta do rodziny Gregga. Od śmierci rodziców jej dom rodzinny był tylko miejscem, w którym chroniła się przed zimą i deszczem. Kiedy rozstała się z Greggiem, bardziej niż samego rozstania żał jej było marzeń o domu i rodzinie.

I nagle ku własnemu przerażeniu zobaczyła, że wybierając spokój i bezpieczeństwo skazywałyby siebie na stagnację. Nigdy nie żyłaby pełnią życia, nie odkryłaby tego, co ją pociąga i fascynuje.

Dziś dom Hamiltonów był cały oświetlony. Żłocisty blask wylewał się oknami, rozpościerał nad trawnikiem.

– Możesz zaparkować z tyłu.

Brand posłusznie okrążył dom. Zgodnie z przewidywaniami Sophie, teren między domem a stodołą był zastawiony samochodami. Oczywiście w stodole nie trzymano zwierząt; dawno temu przerobiono ją na garaż dla zabytkowych aut.

– Tak dla jasności... Zamierzałaś się tu wprowadzić? Zamieszkać z rodzicami Gregga? – spytał Brand, znajdując miejsce do parkowania przy końcu stodoły.

Sophie miała na nogach dziesięciocentymetrowe szpilki i czekał ją długi spacer po zwirowanym podjeździe.

– Nie mieszkalibyśmy na kupie. Mielibyśmy oddzielny apartament z własnym wejściem.

Brand mruknął coś pod nosem.

– Mieszkał w nim brat Gregga, zanim się usamodzielił – wyjaśniła Sophie.

Brand zgasił silnik. Kiedy sięgnęła do klamki, spojrzął na nią gniewnie, po czym wysiadł, okrążył maskę i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Chciałaś żyć pod jednym dachem z rodzicami Gregga. – Pokręcił zde gustowany głową.

Wolałaby nie brać go pod rękę, ale nie czuła się pewnie na wysokich obcasach.

– Nie rozumiem, co w tym złego – rzekła chłodno.

– Serio?

W miarę jak zbliżali się do tarasu, coraz głośniejsze stawały się śmiech, brzęczenie szkła, szmer rozmów. Sophie ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że na myśl o spotkaniu z Greggiem i jego narzeczoną nie czuje najmniejszego napięcia.

– Wyjaśnij mi, proszę, co jest złego w mieszkaniu z teściami, dopóki nie stanie się na własnych nogach?

Znała odpowiedź. Z teściami jest bezpiecznie.

– Czy można wtedy biegać na golasa? Kochać się pod gwiazdami albo na kuchennym stole? Czy można wrzeszczeć z rozkoszy? Błagać męża o jeszcze?

Nawet nie starał się ściszyć głosu.

Odmalowywał świat rządzony przez emocje, przez namiętność. Sophie poczuła ciarki. W głębi duszy pragnęła zrzucić kłępujące ją pęta, odkryć to, co się w niej tliło. Nigdy dotąd nie miała takich pragnień. Ani będąc z

Greggiem, ani z jakimkolwiek innym mężczyzną. Tę namiętą stronę swej natury pragnęła odkrywać wyłącznie z Brandem.

– Nie będzie ci tego brakować, Sophie?

– Ty i tak mi tego nie dasz – warknęła.

Nie zdołała pohamować złości. Najpierw drań zdziera jej przepaskę z oczu, pokazuje, jak mogłoby wyglądać życie, wzbudza w niej namiętność, a potem zostawia, jak gdyby nigdy nic. Brand na moment znieruchomiał. Wziął głęboki oddech i zmierzył Sophie wzrokiem.

Sądząc po błysku w jego oczach, suknia odniosła pożądany skutek. Gdyby Brand był mniej zdeterminowany, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej; zwyciężyłaby namiętność. On jednak odwrócił wzrok, wsunął ręce do kieszeni i kołysząc się na piętach, popatrzył na roziskrzone gwiazdami niebo, jakby zbierał siły.

Domyślała się, w jakim celu: by się z nią pożegnać. Tak jak obiecał, towarzyszył jej na przyjęciu u Gregga, ale od tygodnia szykował się, by znów wyjechać.

– Od początku wiedziałas, że gramy – powiedział cicho. – Że to nie ja będę cię ganiał wokół kuchennego stołu.

Trzymała rękę w zgięciu jego łokcia. Teraz ją wyszarpnęła.

– Czyli nic nie było prawdą, tak?

Zawahał się. Serce zabiło jej mocniej.

– Nic. To była wyłącznie gra – odrzekł, odbierając jej resztki nadziei.

– Jesteś najbardziej fałszywym człowiekiem, jakiego spotkałam – syknęła.

– Ja? A ty?

– Nie przypominam sobie, abym znajdowała przyjemność w okłamywaniu twojej babci.

– Tej babci, która ma zwyczaj całować się w ogrodzie z moim świeżo owdowiałym ojcem?

– Zabawiałeś się jej i moim kosztem!

– A ty wiedziałaś o romansie mojego ojca z twoją babką. I nawet nie zająknęłaś się na ten temat.

– Jeśli chcesz wiedzieć – rzekła, akcentując każde słowo – nie dorastasz ojcu do pięt. On nie jest tchórzem.

– A ja niby jestem?

– Nie boi się miłości.

Przez chwilę Brand milczał. W końcu spytał:

– Twoim zdaniem ojciec kocha twoją babkę?

– Jego spytaj, nie mnie – warknęła. – Wiesz, co? W nosie mam kulturalne zerwanie! W nosie mam mejle i telefony! Po prostu zakończmy wszystko tu i teraz! – Nie przejmowała się, że mówi podniesionym głosem, że goście stojący na skraju trawnika odwracają się z zaciekawieniem. – Po co ciągnąć tę farsę? Nie potrzebuję twojej pomocy. Potrafię iść z dumnie uniesioną głową.

I ruszyła przed siebie. Oczywiście natychmiast potknęła się na nierównym podjeździe.

Brand podbiegł, jakby chciał ją podtrzymać, jakby po raz ostatni pragnął wyciągnąć do niej pomocną dłoń, ale Sophie posłała mu piorunujące spojrzenie. Zdjęła buty i w samych pończochach skierowała się w stronę tłumu.

Nawet nie obejrzała się za siebie.

Brand całe życie czekał na to, by poczuła się pewna siebie, by nie był jej potrzebny. I doczekał się. Wiedział, że odtąd Sophie Holtzheim da sobie

radę. Była jak pisklę, które wypadło z gniazda. On je podniósł; ogrzewał je, otaczał opieką, aż było gotowe wzbić się w powietrze.

Nie spodziewał się jednak, że gdy nadejdzie ta chwila, ogarnie go smutek. Przeszedł na skraj trawnika, świadom, że może więcej Sophie nie zobaczyć.

Taras przed domem był zatłoczony, ale bez trudu wyłowił ją wzrokiem. Wyróżniała się nie tylko strojem, choć żadna inna kobieta nie miała na sobie tak niesamowicie zmysłowej sukni. Także tym, jak szła: z wyprostowanymi ramionami i uniesioną głową. Emanowała seksem, pewnością siebie. Wszyscy to czuli.

Doszła do baru. Nie wiadomo, jakim cudem Brand usłyszał ją z takiej odległości.

– Podwójna whisky z lodem.

Dziesięć minut temu powiedziałby jej, by zwolniła tempo. Teraz nie miał prawa niczego jej nakazywać.

Wyglądała jak bogini. Podobnie wyglądała tamtego pierwszego wieczoru przy ognisku, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziała. Zresztą może nadal nie zdawała sobie sprawy z własnej siły.

Brand patrzył z zachwytem na kobietę, w jaką się przeistoczyła. Wkrótce nie będzie mogła opędzić się od mężczyzn. Jeden przez drugiego będą donosić jej drinki, prosić ją do tańca, a co odważniejsi spróbują zaciągnąć ją gdzieś na boki pocałować. Nie wątpił, że nowa Sophie znakomicie sobie ze wszystkim poradzi.

Zresztą nawet gdyby w czymś nawaliła, to już nie jego sprawa. Nieśmiała zahukana dziewczyna znikła, jej miejsce zajęła dojrzała kobieta, która go nie potrzebowała.

Na myśl o tym poczuł pustkę; wiedział, że nic jej nigdy nie zapełni. Jeszcze przez chwilę stał na skraju trawnika, po czym odwrócił się i skierował do samochodu.

Cicho wszedł do domu ojca, udał się na poddasze, do pokoju, który zajmował w dzieciństwie, i sprawdził wiadomości. Wszystko było gotowe. Po przyjeździe do Kalifornii ma się zgłosić do biura, dostanie tymczasowe lokum i zadanie: będzie uczył nowych żołnierzy zaawansowanych technik ratownictwa przy użyciu lin.

Tak wyglądało jego życie. Może tu, w Sugar Maple Grove, przez moment o tym zapomniał, ale nie miało to znaczenia. Człowiek jest tylko człowiekiem. Czasem popełnia błędy, upada, ale potem podnosi się, otrzepuje i dalej robi to, co musi.

Spakował rzeczy. Liczył, że zdoła wymknąć się niepostrzeżenie, ale natknął się na ojca. Starszy pan zwykle spędzał weekendy poza miastem, jednak akurat tego wieczoru postanowił zostać w domu.

– Miałeś jechać z Sophie na przyjęcie do Hamiltonów.

– Pojechałem, ale nie byłem jej potrzebny. Tato, muszę wracać do pracy.

– Teraz?

– Tak, niestety...

– Pokłóciłeś się z Sophie. – Ojciec utkwiał w nim badawczy wzrok.

– To nie była kłótnia.

– Obiecałeś, że pomożesz jej zachować twarz.

– Odkryła, że tylko sama może to zrobić.

– Mam nadzieję, że jej nie skrzywdziłeś?

– Później skrzywdziłbym ją o wiele bardziej.

Ojciec westchnął.

– Wiesz, prawda? O mnie i Hilde?
– Zdradziła was wydeptana ścieżka między domami.
– Zdradziła? Ja się niczego nie wstydzę.
– Tak? To dlaczego nie powiedziałeś mi wprost?
– Podejrzywałem, że nie zrozumiesz. Że będziesz zły. I nie pomyliłem się.

Brand zaklął pod nosem, a ojciec skrzywił się.

– Nie musisz przeklinać.
– Jestem zwykłym żołnierzem, który niczego sobą nie reprezentuje. Stale mi to wypominasz. Jak również to, że zawiodłem cię, bo sam zdecydowałem o swojej przyszłości. To, że nie przyjechałem na pogrzeb, jedynie utwierdziło cię w przekonaniu, że masz rację.

– Brand, ja wcale nie... – zaczął ojciec, zdumiony oskarżeniem syna.

Brand uniósł rękę.

– Nie mogłeś mi wybaczyć nieobecności na pogrzebie mamy, zupełnie jakbym popełnił śmiertelny grzech, a sam nawet nie potrafiłeś odczekać kilku miesięcy, zanim wdałeś się w romans? Tak, masz rację. Jestem zły.

– Sophie opowiedziała mi o twojej pracy – rzekł Sheridan senior. – Że wielu ludzi mogłoby stracić życie, gdybyś przyjechał na pogrzeb.

– Nie powinna była ci nic mówić – oznajmił chłodno Brand. – Byłoby miło, gdybyś po prostu mi uwierzył.

– Przepraszam cię, synu.

Brand umilkł zaskoczony. Chyba nigdy nie słyszał, żeby takie słowa padły z ust ojca.

– Tato, ile minęło czasu od śmierci mamy, zanim ty i Hilde...

– Przestań. Nie rób ze mnie potwora. A i matce okaż trochę szacunku.

– Słucham?

– Nie rozumiesz, Brand – mówił cicho ojciec. – Życie jest krótkie. Kiedy oferuje nam coś dobrego, trzeba korzystać, bo nie zawsze dostajemy drugą szansę. Kochałem twoją matkę. Może ty potrafisz żyć bez miłości, ja nie. Wciąż jesteś młody, wydaje ci się, że masz przed sobą wieczność, że jeśli dziś nie skorzystasz z okazji, to zrobisz to jutro albo za rok. Ale czas biegnie szybko i nieubłaganie. Czasem koniec następuje nagle, bez żadnego ostrzeżenia.

– Wiem. Widziałem niejedną śmierć.

Ojciec popatrzył na niego uważnie. Na jego twarzy odmalował się wyraz zatroskania.

– Tak. Podejrzewam, że widziałeś wiele strasznych rzeczy. Każdy ojciec pragnie chronić swoje dzieci przed różnymi okropieństwami, lecz ja ciebie nie zdołałem ochronić. Zawsze byłeś uparty, zawsze dążyłeś do własnego celu. Chcę powiedzieć, że przypuszczalnie zostało mi mniej czasu niż tobie, więc nie chcę żałować nawet przez minutę tego, co znikło bezpowrotnie, kiedy mam szansę znów cieszyć się życiem. Nie wiem, czy jesteś w stanie to zrozumieć.

Owszem, Brand był w stanie, a nawet zazdrościł ojcu, że ten potrafi podjąć decyzję, której on nie umiał podjąć.

– Muszę iść.

– Wracasz do swoich niebezpiecznych zadań?

Brand ujrzał strach w oczach starszego pana. Tak, miłość sprawia, że boimy się o tych, których kochamy. Słuszną zatem podjął decyzję, aby opuścić Sugar Maple, porzucić ojca, porzucić Sophie.

Czy wróci do niebezpiecznych zadań? Pewnie tak. Jak nie dziś, to jutro. Ale tego nie powiedział.

– Nie, tato – odparł. – Na razie mam się zajmować szkoleniem.

Warto było skłamać, pomyślał, widząc wyraz ulgi na twarzy ojca.

Brand nawet nie zdążył się rozpakować. Zaledwie po trzech dniach pracy szkoleniowej przydzielono mu nowe zadanie wymagające siły, sprytu, sprawności fizycznej i umiejętności językowych. Sophie miała rację. Podczas takich akcji czuł się najbezpieczniej.

Chodziło o to, by z więzienia w obcym kraju odbić swojego agenta. Powodzenie akcji zależało od wyszkolenia, dyscypliny, precyzji, zgrania w czasie. Zadanie wiązało się z ogromnym ryzykiem. Było idealną odtrutką przeciw pracy, którą wykonywał przez ostatnie cztery lata. Lecz nie było lekarstwem na samotność.

Ryzyko i adrenalina zawsze dostarczały mu emocji; teraz jednak nie zapełniły pustki w jego życiu. Może dlatego, że zakosztował prawdziwych uczuć, poznał różne smaki. Ścigał się rowerem po głównej ulicy miasteczka, wraz z Sophie wygarniał wodę ze starej łąjby, z dużej wysokości wykonał skok do wody.

W głębi duszy marzył o kolejnych tak przyjemnych wyzwaniach, ale wiedział, że to niemożliwe.

Powinien jak najszybciej zapomnieć o dwóch tygodniach spędzonych w Sugar Maple i na nowo zorganizować sobie życie. Znaleźć mieszkanie blisko bazy, zapełnić minuty i godziny intensywną pracą, tak by nie myśleć o Sophie, nie ulec pokusie wykręcenia jej numeru i posłuchania jej głosu.

Dlaczego? Dlaczego nie mogę do niej zadzwonić, spytać, jak się miewa? Rozpakował plecak, następnie otworzył torbę. Na dnie zobaczył plik listów napisanych przez Sinclaira Horsenella. Przeglądając je, zorientował się, że przeczytał już wszystkie prócz ostatniego.

Wyjął kartkę z koperty. W górnym rogu widniała data: maj, 1944 rok. W przeciwieństwie do Branda szeregowy Horsenell nie wiedział, że wkrótce nastąpi lądowanie w Normandii i druga wojna światowa dobiegnie końca.

Droga Sarah!

Piszę do Ciebie z ciężkim sercem. Chciałbym zerwać nasze zaręczyny. Nie myśl, proszę, że czymkolwiek zawiniłaś. Nie chodzi o Ciebie, chodzi o mnie.

Nie jestem tym chłopcem, którego znałaś. Stałem się obcym człowiekiem, którego sam nie poznaję i którego Ty również byś nie rozpoznała. Widziałem i robiłem straszne rzeczy, które na zawsze odcisnęły piętno na mej duszy.

Jak mógłbym wrócić do świata, który pamiętam, lecz do którego już nie należę? Jak mógłbym wrócić do Ciebie?

Błagam, znajdź sobie chłopca, który był za młody, by uczestniczyć w wojnie. Albo był jedynym synem w rodzinie i został, żeby uprawiać ziemię. Znajdź kogoś łagodnego i szlachetnego, kto na Ciebie zasługuje. Mężczyznę, który nie budzi się w nocy z krzykiem, któremu nie chlusnęła na twarz krew kolegi, który nie zabierze z sobą do grobu jęków umierających i zapachu ich ciał.

Życzę Ci wszystkiego, co najlepsze.

Twój Sinclair Horsenell

Odkładając list, Brand wiedział, że nie zadzwoni do Sophie. Decyzja, aby być wojownikiem, pozbawiła go możliwości uczestniczenia w jej życiu.

Wybór, jakiego dokonał, zmienił go. Sprawił, że stał się mężczyzną, który nie może przyjąć miłości z powodu wysokiej ceny, jaką inni musieliby zapłacić. Widział ulgę na twarzy ojca, kiedy okłamał go, mówiąc, że następne zadanie nie wiąże się z żadnym niebezpieczeństwem.

Podobnie jak Sarah, Sophie powinna znaleźć męża, którego nie dręczyłyby wizje tego, co robił; którego znajomość świata ograniczała się do Sugar Maple Grove i okolic. Z pogardą odnosił się do Gregga Hamiltona, ale może właśnie takiego człowieka Sophie potrzebuje?

Chociaż nie. Lepszy byłby taki, który nie chciałby po ślubie mieszkać z rodzicami. Żałował, że tym kimś nie może być on. Wiedział, że zwariuje, jeśli szybko nie weźmie się w garść. Musi wyrzucić z pamięci Sugar Maple Grove. Na dobre. Nie wracać tam wspomnieniami. Nie zastanawiać się, co by było gdyby. Rozmawiając z ojcem, nie pytać o Sophie. Nie szukać jej nazwiska w internecie.

Mimo tych wszystkich postanowień tak samo jak Sinclair chciał, by Sophie wiedziała, że nie chodzi o nią, że ona w niczym nie zawiniła. Dlatego uznał, że się do niej odezwie. Po raz ostatni. Nie osobiście i nawet nie przez telefon.

Zresztą listy Sinclaira nie były jego własnością. Stanowiły część historii małego miasteczka. Kiedy Sophie je przeczyta, zrozumie, że Brand jest wojownikiem, który nie może wrócić do domu. Pokusa jednak okazała się zbyt silna. Wysłał Sophie dwie rzeczy: listy oraz obraz. Zadzwoił do galerii przy Main i poprosił, aby dostarczono jej płótno przedstawiające zacumowaną czerwoną łódź.

Odsyłając pakiet listów, wcale nie czuł się jak wojownik. Czuł się jak słabeusz. I największy samotnik na świecie.

Nagle doznał olśnienia. Kocha Sophie. Kocha ją tak bardzo, że pragnie chronić ją przed najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się jej przytrafić: odwzajemnieniem jego miłości.

Kilka godzin później zadzwonił telefon Branda. W odległym kraju terroryści porwali zakładników i przetrzymywali ich na trzydziestym piętrze budynku, w którym kiedyś mieścił się elegancki hotel.

Wiadomość podawały agencje na całym świecie, dlatego szef nie był pewien, czy Brand powinien tam jechać. Z uwagi na poprzednią akcję, w której brał udział, lepiej by było, aby nie został sfotografowany. Z drugiej strony do uwolnienia zakładników potrzebny był najlepszy wspinacz, ktoś, kto potrafiłby wejść przez okno hotelowe trzydzieści pięter nad ziemią. Brand nie przejął się dziennikarzami. Musi wykonać zadanie. Trzeba ocenić sytuację, rozważyć możliwości. Niektórzy zakładnicy mogą nie przeżyć, on sam może zginąć.

Właśnie na to wszystko nie chciał narażać Sophie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po wyjeździe Branda z Sugar Maple Sophie odkryła, że złościąc się, człowiek daje upust nagromadzonej energii, zatem lepiej się złościć niż użalać nad sobą. Rzadko wpadała w gniew, ale teraz nadrabiała zaległości. Ilekroć myślała o Brandzie, a niestety robiła to za często, popadała w smętny nastrój. Zauważyła jednak, że humor od razu się jej poprawiał, kiedy coś zniszczyła.

Na jej biurku znajdował się stos połamanych ołówków, mnóstwo pomiętych kartek, dwa kubki bez ucha, stłuczony talerz i pełno powykręcanych spinaczy. Z taką furią wciskała przyciski w kalkulatorze, że nadawał się do wyrzucenia, uszkodziła drukarkę, usiłując na siłę wepchnąć do niej toner, zniszczyła zszywacz, kiedy przeklinając pod nosem, próbowała zszyć zbyt wiele kartek papieru naraz.

Była wściekła na Branda za to, że wyjechał, że ją w sobie rozkochał, że rozwiął jej marzenia.

Po tygodniu psucie, darcie i tłuczenie przedmiotów przestało ją bawić, lecz złość jej nie opuszczała. Tyle że teraz Sophie kierowała ją nie na Branda, tylko na siebie. To ona wierzyła, że potrzebuje pomocy drugiego człowieka, aby iść przez życie z uniesioną głową. Stąd się wzięły jej problemy z Greggiem.

Złość dawała jej siłę do działania. Już nie była dziewczyną, która czekała na ratunek, która czekała, aż Gregg zmieni zdanie. Przestała czekać. Straciła dość czasu, użalając się nad sobą. Nadeszła pora, aby wziąć sprawy w swoje ręce. Zapisła się na kurs samoobrony w sąsiednim miasteczku.

Ten sam klub miał ściankę wspinaczkową, a także instruktora. Zapisala się więc również na kurs wspinaczkowy.

Dość leniuchowania.

W trzecim tygodniu po wyjeździe Branda uzmysłowiła sobie, że on naprawdę nie zamierza wrócić. Nie dzwonił, ani razu nie przysłał mejla. Nie musiała spieszyć się do domu, by sprawdzać, czy nikt nie zostawił wiadomości na sekretarce albo czy w poczcie elektronicznej nie czeka list.

Zanim najdłuższe i najgorętsze lato w historii Sugar Maple Grove dobiegło końca, Sophie kupiła nowy kostium kąpielowy. Normalny, czarny, jednoczęściowy, a nie jakieś skąpe szmatki, które rozpuszczają się w wodzie. Nowa Sophie wybrała się w pojedynkę nad Blue Rock, rozłożyła na piasku ręcznik i weszła do wody.

Starala się nie myśleć o Brandzie, nie rozpamiętywać jego słów o tym, że ona, Sophie, jest najpiękniejszą z kobiet, jakie znał. Wspięła się na niższą skałę, na Blue Rock. To wystarczy, powiedziała sobie. Skokiem z tej wysokości udowodnisz odwagę i niezależność. Po chwili jednak uznała, że stać ją na więcej. Rozpoczęła niebezpieczną wspinaczkę na Wdowi Szczyt.

Kiedy wreszcie dotarła na skalną półkę, nogi drżały jej z wysiłku. Odwaga całkiem ją opuściła. Sophie spojrzała na tafłę wody. Bardziej niż skoku bała się jednak mozolnej wędrówki w dół. Stanęła na krawędzi. Serce waliło jej jak młotem. Dłonie miała wilgotne z przerażenia. A jeśli nie odbije się dostatecznie daleko od ściany? A jeśli zaczepi o skałę? A jeśli się pośliznie i polecą na łeb, na szyję? A jeśli obróci się w powietrzu i źle wylądować? Jeśli się połamie?

– Zwykle nic mi nie wychodzi – szepnęła.

Coraz więcej ludzi patrzyło na Wdowi Szczyt. Kilka osób przesłaniało ręką oczy przed rażącym blaskiem słońca.

Skacz, nakazała sobie. Napięła mięśnie, ale... strach ją powstrzymał. Znow napięła mięśnie, i znow to samo. Teraz już wszyscy przyglądali się jej z zaciekawieniem. Słońce, które piekło ją w plecy, było coraz niżej.

Jeśli czegoś szybko nie zrobi, spędzi tu całą noc. Znow stanie się pośmiewiskiem. Trzeba będzie wezwać ekipę ratunkową. A jeśli Brand się o tym dowie? Że stchórzyła?

O nie! Nie mogłaby spojrzeć sobie w oczy!

Skacz, nakazała sobie ponownie. Ale tym razem poczuła coś innego. Usłyszała szept: Sophie, wiem, kim naprawdę jesteś. Czyj to był głos? Branda? Jej ojca? Matki? Jego matki? Tak czy inaczej strach znikł jak ręką odjął.

– Honor – powiedziała cicho, po czym z absolutną wiarą w to, kim naprawdę jest, skoczyła.

Lot trwał zadziwiająco krótko. Tafla wody wydawała się potwornie twarda. Sophie przebiła ją, stopami dotknęła dna, odbiła się i wyłoniła na powierzchnię.

Stojący dookoła ludzie klaskali i krzyczeli.

Wybuchnęła śmiechem. Bo skok okazał się znacznie łatwiejszy, niż się spodziewała. Od początku miała rację. Rzucenie się w przepaść wymaga o wiele mniejszej odwagi niż ofiarowanie komuś serca.

W czwartym tygodniu po wyjeździe Branda kupiła motocykl i zapisała się na lekcje jazdy. Instruktor samoobrony zaprosił ją na randkę. Tak samo jak facet, którego poznała podczas lekcji wspinaczki. Obojgu uprzejmie odmówiła, ale poczuła się mile połączona.

Akurat kiedy pogodziła się z faktem, że Brand do niej nie wróci, nadeszła przesyłka z obrazem. Obraz już się jej tak bardzo nie podobał. Przedtem widziała w nim zachętę do wybrania się na ryby z kimś bliskim,

teraz jednak płótno tchnęło smutkiem: kojarzyło się z samotnością, z życiem, które toczy się gdzie indziej, z dała od starej łodzi przywiązanej do brzegu. Schowała obraz do szafy, by nie musieć go oglądać.

Tak, zdecydowanie wyleczyła się z Branda. Nawet jego podarunki nie budziły w niej żalu i tęsknoty. A potem dostała paczkę z listami. Dołączona była do nich kartka: „Przepraszam. Niechcący je przywłaszczyłem. A one należą do Ciebie”. Niewiele brakowało, a oddałaby listy Bitsy. Ale coś ją powstrzymało. Chyba słowa Branda, że listy należą do niej, nie do Towarzystwa Historycznego.

Do lektury przystąpiła w zaciszu sypialni. Listy czytało się niczym frapującą powieść. Do ostatniego doszła nad ranem. Nie chciała go czytać. Nie chciała znać zakończenia. Z drugiej strony zżerała ją ciekawość.

Kiedy dotarła do końca, łzy płynęły jej po policzkach. To niemożliwe, myślała. Sinclair na pewno wrócił i poślubił Sarah. Ich miłość nie mogła się tak skończyć.

W jednej rzeczy Sophie nie miała sobie równych: w szukaniu informacji. Nazajutrz przed wyjściem z pracy знаła całą smutną prawdę. Znalazła umieszczoną w styczniu 1947 roku w „Sugar Maple Grove Gazette” informację o zaręczynach Sarah Sorlington i Michaela Smitha, a potem, w lipcu tego samego roku, informację o ich ślubie. Zatem Sarah poślubiła Michaela, nie Sinclaira.

„Panna młoda, która miała na sobie jedwabną suknię w kolorze perłowym, trzymała bukiet niezapominajek”, przeczytała Sophie, zalewając się łzami.

Dlaczego Sarah wybrała niezapominajki? Bo pasowały kolorem do jej oczu? Czy dlatego, że przywodziły jej na myśl Sinclaira? Sophie ponownie zapłakała, kiedy zobaczyła nekrolog Sinclaira Horsenella. Płakała nad

mężczyzną, który zmarł, zanim ona się urodziła. Zmarł w Domu dla Weteranów. Nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci. Pozostawił po sobie braci, siostry, ich rodziny.

Sądziła, że uporała się już z gniewem, ale kiedy przeczytała o śmierci Sinclaira, pobiegła do mieszczącego się obok sklepu z używanymi rzeczami i kupiła stos talerzy. Tego wieczoru zeszła do betonowej piwnicy w budynku Towarzystwa Historycznego i wszystkie roztrzaskała. Niewiele to dało. Była wściekła na Sinclaira za jego upór i głupotę, a jeszcze bardziej była zła na Sarah.

Jak można być istotą tak samolubną i bezmyślną? Czy ta idiotka nie potrafiła czytać między wierszami? Czy nie słyszała krzyku rozpaczyny młodego żołnierza? Biedak pogubił się, stracił wiarę w siebie. Czy Sarah tego nie widziała? Dlaczego nie pokazała mu drogi do domu?

Nagle, siedząc wśród odłamków szkła, zrozumiała, dlaczego Brand przysłał jej te listy. Nie dlatego, że pracowała w Towarzystwie Historycznym, ale dlatego, że – podobnie jak Sinclair – był świadkiem i uczestnikiem wydarzeń, których nie chciał z nikim dzielić. Tak jak Sinclair nie wierzył, że ktoś jeszcze pamiętał go takim, jakim naprawdę był. I jak Sinclair bał się, że nigdy nie odnajdzie drogi do domu.

Zrozumiała też, dlaczego zapisała się na kurs wspinaczki, na kurs samoobrony, dlaczego skoczyła z Wdowiego Szczytu, dlaczego kupiła motocykl.

Powoli zmieniała się w kobietę, która nie boi się wyruszyć, choćby do piekła, po swojego mężczyznę. Która nie boi się pokazać mu, którądy wiedzie droga do domu.

Ponownie usłyszała głos, który już słyszała przed skokiem z Wdowiego Szczytu: Sophie, wiem, kim naprawdę jesteś. Rozpoznała go.

Tych słów nie wypowiedział Brand ani jej ojciec lub matka. Pochodziły one z najgłębszych zakamarków jej duszy.

Wiedziała już, co musi zrobić.

Brand był wykończony, fizycznie i psychicznie. Zanim ludzie z Oddziału Szybkiego Reagowania dotarli na miejsce, dwóch zakładników już nie żyło.

Szedł po schodach do swojego mieszkania. Nagle zamarł. W środku paliło się światło. Czyżby wybiegł w takim pośpiechu, że go nie zgasił? Możliwe, choć mało prawdopodobne. Dziennikarze otrzymali zakaz pokazywania jego twarzy, ale...

Gdy usłyszał dobiegającą z wnętrza muzykę, włosy zjeżyły mu się na karku. Po chwili uspokoił się. Nie, to na pewno ktoś znajomy. Na wszelki wypadek starał się nie robić hałasu. Przy drzwiach podniósł rękę. Zazwyczaj zostawiał klucz na framudze, dziś jednak go nie było. Nacisnął klamkę. Drzwi są otwarte?

Zajrzał do środka. Miał stąd widok na całe mieszkanie, nie licząc sypialni. Najpierw w przedpokoju zobaczył walizkę, a potem w kuchni – Sophie. Zalała go fala podniecenia, trochę innego niż to, które czuł, kiedy opuszczano go na linach z dachu.

W białej bluzce, opiętych dżinsach i sandałach wyglądała fantastycznie. Włosy miała lśniące i trochę krótsze; aż się chciało wsunąć w nie rękę. Jakby tego było mało, w powietrzu unosił się zapach czekoladowych ciastek...

Nigdy na czyjś widok nie czuł tak wielkiej radości. Miał wrażenie, że w mieszkaniu rozblęskło słońce, że jego ponure życie nagle pojaśniało. Przepęłniło go uczucie szczęścia.

Gdy wszedł do środka, Sophie odwróciła się. Była lekko umalowana. Róż na policzkach, szminka na ustach, cień na powiekach. Sprawiała wrażenie, tak jak wtedy na przyjęciu Hamiltonów, kobiety, która wie, co chce osiągnąć. Gdy uśmiechnęła się, poczuł się tak, jakby wkoło strzelały fajerwerki.

– Co, do diabła? – zapytał, starając się nadać głosowi ponure brzmienie, i skrzyżował ręce na piersi.

– Witaj, Brand. Ja też się cieszę, że cię widzę. Skrzywił się.

– Jak się tu dostałaś?

– Twój ojciec mi powiedział, że pewnie zostawiasz klucz nad framugą.

– Ojciec wie, że tu jesteś?

– Uważa, że jestem fantastyczna i lepiej trafić byś nie mógł.

Oczywiście, że jest fantastyczna, ale on się dla niej nie nadaje. Nie dostała listów Sinclaira? Nie przeczytała ich?

– Tu jest Kalifornia, a nie Sugar Maple – zauważył, zmieniając temat.

– Nie możesz piec ciastek przy otwartych drzwiach.

– Przestań. Jeśli będę potrzebowała ochrony, kupię sobie rottweilera.

– W Sugar Maple nie potrzebujesz ochrony. Tam jest twoje miejsce.

– Nie ty o tym decydujesz.

Miał rację; nabrała wewnętrznej siły i pewności siebie.

– A w ogóle to co robisz w mojej kuchni?

– Uznałam, że posprzątam, skoro będę tu mieszkać. I kupię ci blachę do pieczenia ciastek.

– Blachę...? Co to znaczy? Gdzie będziesz mieszkać? Tu? W tych czterech ścianach? Na pewno nie.

– Ależ tak. Dopóki nie pójdziesz po rozum do głowy.

– Po rozum? Ja? Raczej ty.

– Ja na szczęście przestałam się już kierować rozumem. Zrozumiałam, że spokój to najgłupsza rzecz na świecie. Przytępia zmysły. Usypia. Człowiek drętwieje.

– Nie możesz tu zostać – oznajmił szorstko Brand.

– Wyglądasz, jakbyś ledwo zipał – powiedziała kojącem tonem. – Usiądź, zjedź ciasteczko. Zrobiłam je według przepisu twojej mamy.

Wiedział, że najmądrzej byłoby obrócić się na pięcie i zwiać, ale coś go powstrzymało. Wszedł do mieszkania i niemal wbrew sobie usiadł przy kuchennym stole. W nozdrza uderzył go zapach Sophie. Czysty, świeży, kuszący.

– Poczęstuj się.

Pokusa okazała się zbyt silna. Wziął ciastko, odgryzł kawałek, zamknął oczy i rozkoszował się jego smakiem.

– Napijesz się mleka?

– Nie mam mleka – warknął rozdrażniony.

Otworzywszy oczy, utkwiał w niej wzrok. Dziesiątki myśli krążyły mu po głowie: To sen. Zaraz się obudzę. Kiedy przestałem lubić samotność? Muszę ją przepędzić. Zniechęcić. Dla jej dobra.

– Kwaśniej, kiedy wyjeżdżam. Nigdy nie wiem, kiedy wrócę. – Na moment zamilkł. – Czy w ogóle wrócę.

Sophie bez słowa postawiła przed nim szklanę mleka. Nie pij, rozkazał sobie, zupełnie jakby biały płyn był jakimś tajemniczym nektarem, po wypiciu którego on, Brand, straci swoją moc. Upił łyk.

No tak. Mieszkał sam od ośmiu lat. Dziś po raz pierwszy poczuł się tak, jakby po długiej tułaczce dotarł do domu.

Ciasteczka. Mleko. Wyczerpanie. Zatroskane spojrzenie Sophie. Świadomość, że nie wszystkim zakładnikom zdołał pomóc. Oparł głowę na dłoniach i wziął głęboki oddech.

Jej ręka spoczęła na jego ramieniu.

– Będzie dobrze. Jestem przy tobie.

– Jakie dobrze? – burknął. – Miałem wyprowadzić czternaście osób z hotelu, w którym trzymano ich jako zakładników. Tylko dwanaście osób to przeżyło.

Objęła go za szyję.

– Och, Brand... – szepnęła.

Nic więcej, ale to wystarczyło. Miał wrażenie, jakby ciężar w jego sercu zelżał. Przestraszył się. Wiedział, że mógłby się uzależnić od obecności Sophie, jej uśmiechu i ciepła; wkrótce nie chciałby jej puścić.

– Mogłem zginąć – ciągnął. – Czy można drugą osobę narażać na takie życie? Moim zdaniem nie. I dlatego musisz odejść.

– Nie.

– Tak.

– Nie – rzekła równie stanowczo, jak on.

– Nie zgadzam się, żebyś tu została.

– Więc wyrzuć mnie.

Nie mógł. Pragnął, by została. Na zawsze. Zaczął nerwowo szukać ratunku.

– Kiedy mieszkańcy Sugar Maple dowiedzą się, że mieszkasz u mnie, ucierpi twoja opinia.

Wybuchnęła śmiechem.

– Tym się akurat nie przejmuję.

– A ja tak. Nie możesz tu zostać. To... nie wypada.

– Nie zamierzam się nigdzie stąd ruszać. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Hilde nie pochwali twojej decyzji – zauważył.

– Nie znasz mojej babci. A powinieneś, skoro wszystko rozumiałeś, kiedy mówiła po niemiecku.

– Ojciec mnie zabije. – Zdawał sobie sprawę, że używa słabych argumentów.

– Nieprawda. Zachęcił mnie do przyjazdu. Powiedział, że życie jest zbyt krótkie.

– Słynny wykład o tym, jak to trzeba cieszyć się każdą chwilą.

– Bo trzeba, Brand. Właśnie przyznałeś, że mogłeś zginąć. Wiesz, co bym czuła, gdyby tak się stało? Że zmarnowałam najważniejsze godziny mojego życia. Dni i godziny, kiedy powinnam być z tobą. Brand, ja...

Wiedział, co za moment usłyszy.

– Nie, nie mów – poprosił, bo to by było gorsze od ciasteczek i mleka. Po prostu nie wytrzymał psychicznie, a chciał być silny.

Sophie jednak nie zamierzała ustępować.

– Jestem tu, bo cię kocham. Nie chcę tracić ani minuty.

Co miał powiedzieć? Że też ją kocha? Owszem, kocha, ale musi podjąć chociaż jedną próbę zniechęcenia jej do siebie.

– Zdobędę cię, Brand. Będę się starać o twoje względy...

– To się nie skończy tak, jak tego chcesz – mruknął.

– Pożyjemy, zobaczymy – oznajmiła pogodnie.

Słusznie się bał. Jej słowa o miłości wytrąciły mu broń z ręki.

– A twoja praca? – spytał niczym tonący, który chwyta się brzytwy. – Nie możesz jej rzucić. Nie...

– Przywiozłam z sobą teczkę notatek i dokumentów. Szefowie uznali, że mój wyjazd to świetny pomysł, bo będę miała czas posiedzieć nad książką o wpływie drugiej wojny światowej na życie mieszkańców Sugar Maple. Jak widzisz, nie będę się nudzić, kiedy wyruszysz na kolejną akcję.

– Mam jedną sypialnię – ostrzegł.

– Nie szkodzi. Mogę spać na kanapie.

– O nie! Na kanapie ja będę spał.

– Skoro nalegasz... – Uśmiechnęła się.

Nagle uświadomił sobie, że zgodził się na jej pobyt. W porządku, ale to nie znaczy, że wygrała. Może u niego pomieszkać, on jednak będzie ją ignorował.

Akurat! Tego wieczoru, kiedy najadł się ciastek, które pewnie zawierały jakiś proszek czy nektar miłosny, Sophie namówiła go na scrabble'a. Zawsze się przy tej grze odprężał. A potem udała się do sypialni, skąd wyłoniła się parę minut później w kusej piżamce złożonej z szortów i bluzeczki na ramiączkach. Na jej widok serce zabiło mu szybciej.

– Trzeba ustalić kilka żelaznych zasad – oświadczył. – Nie ma żadnych całusów na dobranoc. Nie wiadomo, do czego to by mogło doprowadzić.

Sophie popatrzyła na niego z niewinną miną.

– Słusznie. Sama powinnam była na to wpaść. – Znikła ponownie w sypialni i tym razem zamknęła za sobą drzwi.

Co on najlepszego zrobił? W łazience na drążku od prysznica wisiał czerwony stanik. Nie jakiś tam zwykły czerwony stanik, tylko taki delikatny, jakby uszyty z jedwabnych nici i mgły.

Czy naprawdę wypowiedział słowa, że będzie spał na kanapie? Podejrzewał, że nie zmruży oka.

Korzystając z tego, że w lodówce jest mleko, na śniadanie postanowił zjeść płatki. Nasypał garść do miski, po czym zaczął studiować tekst na opakowaniu. Udawał, że nie widzi Sophie, która siedziała naprzeciwko, boso, w kusej piżamce i pijąc kawę, czytała jego gazetę.

Paznokcie u nóg miała pomalowane na czerwono.

– Musimy ustalić więcej zasad – rzekł ochryłym głosem.

– Słucham.

– Nie wieszamy czerwonych staników w łazience. I nie chodzimy w piżamie po mieszkaniu.

Zmarszczyła czoło, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Coś za coś?

– To znaczy? – spytał znużony.

– Ja nie będę zostawiać na widoku czerwonej bielizny, a ty po pracy zabierzesz mnie na rower. Wzdłuż morza. Po drodze możemy zatrzymać się gdzieś na hot doga.

– Dobra.

Od tego wszystko się zaczęło: od przejażdżek rowerowych i hot dogów. Potem – za zdjęcie z drążka w łazience czarnego stanika – doszła jazda na rolkach. Podczas wizyty w teatrze Brand zrozumiał, że nie ma sensu dalej wyklócać się o to, gdzie Sophie wolno zostawiać bieliznę, a gdzie nie.

Brak suszących się staników czy fig w łazience wcale nie pomógł mu się wysypiać. Zakaz noszenia skąpej piżamki też niewiele dał. Równie seksowna bowiem okazała się różowa piżama z długimi rękawami i długimi nogawkami.

Przed pójściem spać Sophie lubiła wypijać kubek kakao. Często siedzieli do późna, rozmawiając, śmiejąc się, czasem grając w scrabble'a.

Niewyspanie coraz bardziej przeszkadzało Brandowi w pracy. Popępiał błędy, nie mógł się skupić, raz czy drugi spóźnił się na odprawę, ponieważ dzwonił do Sophie, by przypomnieć jej o zamykaniu drzwi. Kiedyś nie zareagował na polecenie przełożonego, bo rozmyślał o tym, co Sophie powiedziała.

– Strasznie męcząca ta twoja praca – zauważyła, kiedy wieczorem dowlókł się do domu. – Mam coś, co ci pomoże. I poprawi humor.

Przygotowała kolację: pieczeń wołową z puddingiem yorkshire. Tak, tak, wiedział: na podstawie przepisu jego matki.

– To nie jest żadne staranie się o względy! – oznajmił po trzech dniach. – To jest porwanie, zawładnięcie cudzym ciałem i duszą. Mam nadzieję, że wkrótce się tym zmęczysz.

Nic takiego się nie stało. Z dala od Sugar Maple Grove oboje czuli większą swobodę. Znikło znajome otoczenie, nikt ich nie obserwował. Ona nie była grzeczną dziewczynką, która wygrała konkurs oratorski, on nie był chłopcem, który ciągle stawał w jej obronie.

Poznawali się na innej płaszczyźnie, jako ludzie dorośli. Po raz pierwszy Brand patrzył na Sophie jak na fascynującą kobietę, mądrą, zabawną, zmysłową, która – o dziwo – uwielbia przygodę.

Dzięki jej uporowi znaleźli ścianę do wspinaczki. Sophie pokazała mu, czego się nauczyła. Brand wspiął się całe dorosłe życie, ale nigdy nie czuł większej przyjemności niż teraz, gdy się wspiął z Sophie. W dodatku gdy patrzył do góry i widział w uprząży jej kształtną pupę...

Sophie uwielbiała nowe doświadczenia, nowe wyzwania. Dziewczyna, która dorastała w małym sennym miasteczku, była gotowa na podbój świata.

Lubiła jeździć komunikacją publiczną. Nigdy nie miała dość oceanu. Radość sprawiały jej pikniki na plaży, wypatrywanie wielorybów, podziwianie zachodów słońca.

Mimo że zachwycała się nowościami, wciąż była dawną Sophie, która z przyjemnością redagowała książkę dla Towarzystwa Historycznego i wypróbowała na Brandzie kolejne przepisy. Sprawiała wrażenie ożywionej, pełnej energii, w przeciwieństwie do Branda, który nie spał po nocach, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby poszedł do sypialni, wyciągnął się na łóżku i przytulił do Sophie.

Czuł coraz większe zmęczenie. Zapominał się, opowiadał Sophie rzeczy, których nie powinien mówić. Po prostu w spokojnych intymnych chwilach puszczały mu hamulce. Nawet nie przypuszczał, że intymność może tak niewiele mieć wspólnego z czerwoną bielizną.

Opowiadał o trudnych sytuacjach i przeżyciach.

O tym, jak trzeciego dnia w nowym terenie musiał pochować najlepszego przyjaciela. O tym, jak na kilka lat wcielił się w postać Briana Lancastera, a potem zdradził wszystkich tych, którzy go polubili i mu zaufali. Opowiedział o uratowaniu zakładników z hotelu i twarzy młodej blondynki, której nie zdołał pomóc i która śniła mu się po nocach.

Sophie słuchała. Nie krytykowała, nie oceniała. Po dwóch tygodniach wyczerpany wrócił do domu.

– Wygrałaś, Sophie – oznajmił. – Poddaję się.

Żaden wojownik nie lubi wypowiadać takich słów, ale gdy to zrobił, poczuł niesamowitą ulgę.

– Nie, zaraz. Wcale nie wygrałaś. Ja wygrałem. Bo chociaż na ciebie nie zasługuję i chociaż nie chcę ci niszczyć życia, nadal tu jesteś. W dodatku coś mi mówi, że nigdzie się nie wybierasz.

– Masz rację. Tu jest moje miejsce.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę. Skórę miała piękną, gładką jak jedwab. Wydało mu się, jakby całe życie czekał na tę chwilę. Powoli zbliżył usta do jej warg. Już nie bronił się, nie walczył.

– Kocham cię – szepnął. – Pragnę cię poślubić. Nie chcę więcej wracać do pustego domu. Co to za życie, jeśli ciebie w nim nie ma? Umierałem z samotności i nawet o tym nie wiedziałem, dopóki nie zburzyłaś mojego spokoju. Uratowałaś mnie, Kitku.

Uśmiechając się czule, wsunęła rękę pod jego koszulę. Miał wrażenie, że wielka przygoda, jaką dotąd było jego życie, wcale się nie kończy, lecz wkracza na nowe tory.

– Sophie, moja droga, czy zostaniesz moją żoną? Zamarł. Zamarło jego serce. Czekał.

I w końcu usłyszał to jedno słowo, które było afirmacją, miłością, dowodem na to, że miłość potrafi pokonać wszelkie przeszkody i pokazać wojownikowi, co jest w życiu ważne.

– Tak.

EPILOG

Internet to fantastyczne urządzenie, pomyślał Brand. Jeśli wpisze się zwrot „Uroki życia w małym miasteczku”, można obejrzeć film o dziewczynce, która za moment zostanie ogłoszona zwyciężczynią ogólnokrajowego konkursu oratorskiego. Śmieszne, pamiętał ją jako małego kujona w okularach, a ona wcale nie wyglądała tak źle. Była urocza i wzruszająca, a także bardzo odważna, kiedy stała sama na wielkiej scenie.

Z początku głos jej lekko drżał, ale z każdą chwilą stawał się coraz silniejszy. Opowiadała o zabawnych rzeczach: o plotce, że prezydent Stanów Zjednoczonych ma odwiedzić Sugar Maple Grove, o piknikach, o Blue Rock i skokach do wody, o pysznych lodach, którymi wszyscy się zajadają w upalne wieczory, o huśtaniu się na werandzie i niezamykaniu drzwi na klucz.

A potem opowiedziała o chłopcu chorym na raka: całe miasteczko pomagało rodzinie, zbierało pieniądze na leczenie. Opowiedziała o tym, jak spłonął dom starego Francisa i wszyscy pomogli mu zbudować nowy. Wreszcie, patrząc prosto w kamerę, której pewnie nawet nie widziała, oznajmiła z głębokim przekonaniem: „Wiecie, na czym polega urok życia w małym miasteczku? Na tym, że ludziom się chce. Że wierzą w miłość”.

Brand zatrzymał obraz na piegowatej dwunastolatce z aparatem na zębach. Już na tym filmie widać było, na jaką kobietę to dziecko wyrośnie. A wyrosło na kobietę mądrą i dzielną, która nie bała się ruszyć za nim do Kalifornii, bo wierzyła w siłę i potęgę miłości.

Obserwując Sophie na ekranie komputera, zastanawiał się, czy jeśli urodzi im się dziewczynka, to będzie podobna do swojej mamy? Byli

małżeństwem od trzech lat. Brand odszedł z jednostki specjalnej i razem z Sophie otworzył szkołę u podnóża Gór Zielonych, pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie się urodził.

Szkoła o nazwie „Na Wysokości”, w której prowadzono kursy dla ratowników specjalizujących się w ratownictwie wysokościowym, cieszyła się świetną opinią.

Brand codziennie robił to, co najbardziej lubił: wspinał się i uczył techniki wspinania, pracy nóg, rąk, balansowania ciałem, chwytów, wyboru drogi. Sophie, wykorzystując swoje umiejętności organizacyjne, zajmowała się stroną administracyjną. Pracowali razem, razem mieszkali i z każdym dniem kochali się coraz bardziej. O nic więcej nie mogliby prosić.

– Brand?

Usłyszał za sobą jej głos. Stanąwszy za nim, oparła się brzuchem o jego ramię. Poczuł w jej brzuchu delikatny ruch.

– Nie mogłem zasnąć.

Zerknęła na ekran komputera i roześmiała się wesoło.

– Nie takich rzeczy szuka w internecie większość mężczyzn, kiedy nie może spać.

– Co pani wie o większości mężczyzn, pani Sheridan?

– Że w niczym ich nie przypominasz. – Objęła go za szyję i opuszką palca pogładziła po uchu, w którym tkwił diamentowy kolczyk.

Dziura po poprzednim nie zarosła się. Sophie kupiła mu nowy zamiast obrączki, która jedynie przeszkadzałaby podczas wspinaczek. Uważała, że diamentowy kolczyk jest bardzo seksowny, a Brandowi podobał się wyraz jej twarzy, kiedy na niego patrzyła. W młodości szukał podnieć w niebezpiecznych misjach, teraz wiedział, że nie ma nic bardziej

podniecającego niż normalne życie z żoną, którą się kocha, i dzieckiem, które wkrótce ma się narodzić.

– Byłam całkiem uroczą dziewczynką.

– Nadal jesteś urocza.

– Wiem.

Roześmiali się. Uwielbiał jej pewność siebie i piękno, którym emanowała.

– Byłam kujonem, ale rozkosznym kujonem.

– Nasza córeczka będzie taka sama. Ale zawsze będę ją chronił.

– Nawet nie wiemy, czy to dziewczynka.

– Ja wiem. Na sto procent. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę ojcem.

– Kochanie?

– Mmm?

– A propos zostania ojcem... To już bardzo niedługo. Czuję taki dziwny ból, o tu...

Przesunęła jego rękę na swój brzuch.

Brand był żołnierzem i wiele razy patrzył śmierci w oczy. Zarabiał, wspinając się na zawrotne wysokości. Przez całe życie podejmował ryzyko, stawał twarzą w twarz z niebezpieczeństwem. Tylko Sophie знаła go naprawdę. Przy niej nie musiał wkładać maski, mógł okazać słabość.

Ale nie dziś. Dziś będzie silny jak jeszcze nigdy dotąd. Postara się swoją siłą dorównać sile żony.

– Nie bój się, Kitku – powiedział. – Będę przy tobie. Będę cię wspierał.

Wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś przerażony.

Ona jedna umiała go przejrzeć na wylot.

– Twój tata i moja babcia są już w drodze – dodała. – Na wypadek, gdybym była zbyt zajęta, aby cię cucić.

Brand wyjechał z Sugar Maple, uciekł od rodziny. Sądził, że potrzebuje innych rzeczy: przygody, podniet, dreszczu emocji. Potem dojrzał i zrozumiał, że największą przygodą jest miłość.

Wstał i obróciwszy się twarzą do Sophie, długo patrzył jej w oczy, a potem wziął ją na rękę, bez wysiłku, jakby nic nie ważyła, i czując na szyi jej ciepły oddech, ruszył przed siebie ku przyszłości.